

JAN KASPROWICZ

DZIEŁA

POD REDAKCJĄ
STEFANA KOŁACZKOWSKIEGO

TOM X.

WYDAŁ WOJCIECH MEISELS

1930

JAN KASPROWICZ

O BOHATERSKIM KONIU
I WALĄCYM SIĘ DOMU

K R A K Ó W

1930

I. POŁUDNIE.

Z wieży kościelnej, ukrytej w gęstwi konarów, bije dzwon.
Siwą drogą wlecze się brudny chłopina i szepce zdrowaśki.
Ciche, chłodne południe.

Przez otwarte okno wzrok mój ulatuje ku żółtym pasom
dojrzałego owsa.

Nie wszystkim jeszcze skoszono.

Smutna, od wschodu zbliżająca się jesieni!

Spokój przerywa ciężki, głęboki oddech lokomotywy.

Na białym niebie zawisła chmura dymu.

Czuby kilku młodych wierzb poruszył nagły powiew, lecz
ciężkolistne, rozłożyste lipy nie drgnęły.

Słychać turkot wozu; na zielonem zbocz trawnika żeruje
para gołębi; wiotki motyl zerwał się z fioletowej lucerny i znikł
za węglem domu!

Jestem sam.

Pod płotem czernieje lichy pniak limby — za rok zwiędnie
do szczętu.

II. SPOCZYNEK.

Wyszedłem o jutrzni — do zachodu daleko.

Po długiej, mozolnej drodze wypoczywam na mchach.

Czarny las wcina się w błękit.

Z trawy wypelza na mą rękę czerwonołuska biedronka
i snuje się po niej, jak gad.

Słońce caluje nieskazitelną zieleni świerków.

Głaz urwał się od turni i skacze w przepaść, echa budząc
po górach.

Wczoraj w wiosce naszej pogrzebano człowieka, który
usnął, nim owce jego spędzono z hal.

Stawy mają brzegi pawie, a na przejrzystym dnie wielkie,
zielone kamienie, uwięzłe w leju białych plam wiecznego śniegu.

Nie jestem smutny.

Patrzę na świat niezamglonem jeszcze okiem.

Sarna przekroczyła skraj lasu i, obejrzawszy się naokoło
spieszny ku potokowi.

Spokojnie słucham wodospadu.

Gronostaje królewskich płaszców na ramionach obląkań-
ców są mi obojętne.

Zbliża się ku mnie zapomniana postać w czapce z dzwon-
kami, z węzową laską w dłoni.

— Idę — mówi — ku tobie stamtąd...

Gdzieś daleko powyżej ściany, poza którą — pamiętam —
wiedzie droga ku wielkiej, sennej równi, ozwała się syrena
modnego uzdrowiska.

Chorzy, mający umrzeć jutro, gromadzą się na obiad.

III. WĘDROWCY.

Biedni wędrowcy, w mocno nadwyrężonych łapciach, za-
pewne nabytych na tandecie lub wygrzebanych z śmietniska,
siedli na podszarzałej burcie przydrożnego rowu.

U stóp złożyli pstrokate węzélki i z lekceważeniem patrzą
na raba, tłukącego kamienie.

Rzęsiste światło oblewa im grzbiety, a rosły jawor rzuca
cień na twarze i piersi.

Na dnie rowu pcha się leniwie wąski strumyk wody.

Skąd idziecie i dokąd? zapytam.

Odrzeknie mi człowiek o licach barwy starego rzemienia,
który, odpadłszy od uprzęży, splókał się w deszczu i skurczył
się w słońcu.

Słyszeliśmy — powiada — że gdzieś przed nami rozdają
darmo chleb i wino: wędrujemy tam od świtu, albowiem
głodni jesteśmy i spragnieni.

Ogłoszono orędzie, napisane przez świętego Pawła, że
orzący i siejący zaniedbują dusze, a ten niewolnik tłucze
kamienie.

Z trudem podnieśli się z miejsca i powlekli się dalej.

Szli w kierunku południa: prowadziło ich widmo, utkane
z sierpniowych promieni — postać, która ongi uśmiechnęła
się do mnie przy łóżku konającego przyjaciela.

Spocząłem na chwilę z oczami, wlepionymi w trawę: zmięta
przez biednych wędrowców, przeżyła się z wolna do góry.

Z pod ciężkiego młota potoczyło się ku mnie kilka odłam-
ków piaskowca i kurz osypał mi stopy.

Rzęsiste gorące światło oblewało mi plecy, a rosły jawor
rzucił mi cień na twarz i piersi.

IV. POD KOLUMNĄ.

Wielki Wódz, który wygrał sto bitew, a w jednej legł,
został mimo to niezmierną łaskawością tłumu wyniesion na
szczyt spiżowej kolumny.

I stoi na placu, na którym się skupia ruch świata.

Świst samochodów dolatuje do jego uszu, kłab dorózek

naokoło, a wśród nich stróż bezpieczeństwa pewnym siebie gestem toruje drogę przechodniom.

Jakiś komiwojażer, z bezwstydnym uśmiechem w oczach, prowadzi rozbawioną kokotę i klepie ją zwycięsko po udach

Długowłosey, wychudły malarz, w szerokich aksamitnych spodniach, przekrada się z obrazem pod pachą do sąsiedniego sklepu, w którego oknie triumfuje fałszywy Palajuolo.

Na dachu klubu, wśród wazonów palm i kwiatów, panowie grają w bakarata — szare, wielkie płótno, rozpięte nad nimi, chroni ich od słońca.

W narożniku ulicy kilku bladych gamenów, w czapkach na tyle głowy, w okręconych naokoło szyi chustkach, ręce wetknawszy w kieszenie, gwiżdże pod nosem lub, spluwając przez zęby, wilgotnymi strzyżąc powiekami w stronę odętego bankiera.

Wrzask! Krzyk! Zbiegowisko!

Co się stało?

Pełnomocnicy dzisiejszych władców globu, panów właścicieli dzienników, notują:

„Szalona Mlle Catherine G. z pod nr. 14 rue du Poteau, niezamężna, wskutek nieuwagi pijanych dozorców uciekłszy z Domu Zdrowia, zrzuciła z siebie suknie i nago zaczęła tańczyć przed pomnikiem, wyrażając się wielkiemu Wodzowi, iż wysadzi go w powietrze, albowiem on to ubiegłej nocy podszedł chytrze do jej łóżka i uwiódł nieszczęśliwą.

„Ucieszne to było widowisko, ale i smutne zarazem, tem smutniejsze, ponieważ szanowany powszechnie obywatel, białoskórnik p. X., który Rzeczypospolitej niejedną wyświadczył przysługę, upadł w natłoku na bruk i złamał sobie nogę.

Niepoczytalną dziewczynę zamknięto na razie w areszcie”.
Szanownego obywatela odwieziono do domu.

W kawiarni zagrała cygańska orkiestra.

Kelnerzy nalewają absynt do szklanek.

Damy cedzą przez słomkę groseille i grenadyny.

Jakiś obszarpaniec nabija na szpilkę, przymocowaną do laski, porozrzucane na ziemi niedopałki papierosów.

Kędzierzawy młodzieniec gwałtownym ruchem wyciąga z pod surduta album nieprzyzwoitości i tajemniczo zaleca je stropionym galantom.

Inny, z śladami ciężkiej choroby na twarzy, sprzedaje świeżo wynaleziony gatunek cri-cri.

Biedne, umęczone dziecko tuli mu się do piersi i lekliwie spogląda ku damom, cedzącym groseille i grenadyny.

Gwar ulicy krępuje chrapliwy, magiczny, nieustanny krzyk: La Presse! La Patrie!

Zaś wielki Wódz, który wygrał sto bitew, a w jednej legł, lecz mimo to niezgłębioną i niezmierzoną laskawością tłumy wyniesion jest na szczyt spiżowej kolumny, gubi się w ogarniającym go zwolna mroku.

Za chwilę stanie w ogniach: zapalają latarnie.

V. PIJACZKA.

Schodził do tawerny wśród ścian, wyłożonych zwierciadłami.

Przeglądał się niechący.

Zmarszczki na kątach powiek zarysowują się coraz silniej.

Cóż z tego?

I ja byłem młody!

Żyjmy, jak ludzie, którzy się starzeją! Ehej! Ehej!

Może ją spotkam. Może wróciła z świeżej orgji.

Jest.

Usiadł przy stole, naprzeciw grupy podchmielonych studentów, śpiewających wyuzdaną piosenkę.

A ona, oparta plecami o bufet, wysunęła prawą nogę, obutą w płytki, lakierowany trzewik, u piersi bukiet róż, oczy w cieniu kapelusza; jedna ręka, zaciśnięta w kulak, leżała bezwładnie na marmurowej płycie kredensu, druga zawisła w powietrzu, jakby właśnie coś upuściła.

Tak: na podłodze stłuczony kieliszek, na przewiewnej białej sukni ślady rozlanego trunku.

Któryś z studentów uderzył laską o stół: śpiewajże z nami, pijaczko!

Odrzuciła kapelusz w tył, wyprostowała się i, jakby nagle z dalekiego wróciwszy marzenia, wrzasnęła rozgorączkowanymi ustami:

— Allons enfants de la Patrie!

A potem:

— Nie! nie chcę waszej ojczyzny!

Oprzytomniała.

Przedziwne oczy spotkały się z jego oczami:

— Ty tu?

— Przyszedłem za tobą.

— Przebiegłam palcami po twych moralach, jak po klawiszach. Grywałam kiedyś Szopena. Ehej! Ehej! Sentymentalny jesteś i nadgryzło cię życie. Dziś lubię — wino. Postaw butelkę. Kelner! Château d'Yquem!

— Mam zaledwie kilkanaście franków.

— Wystarczy!

— A czem ci zapłacę za —

— Miłość!? Ehej! Ehej! Sentymentalny jesteś i nadgryzło cię życie i, widać, dawno już zapomniałeś, że za miłość się nie płaci...

Dawno! już dawno!...

VI. BALLADA O BOHATERSKIM KONIU.

Panie i Panowie!

Oto koń, na którym sir Raleigh Haywards zwyciężskim dowodził pułkiem przeciwko zbuntowanemu chłopstwu w Transwału.

Żołnierze Jej Królewskiej Mości guziki mają błyszczące.

Jadał cukier z ręki generałowej, szczególną obdarzającej laską jego pana, a słynna z piękności miss Ellen zaplatała mu grzywę w wstążki, nabyte w znanym z doborowych towarów magazynie J. M. Freebody & Debenham na Wigmore-street 44 (czterdzieści i cztery!).

Był czas, że koń ten złociste nosił podkowy.

Na głos surmy uderzał niemi o ziem, parszcząc niecierpliwie i gryząc uździenicę, albowiem nie mógł się doczekać chwili, w której się rzuci na wroga.

Żołnierze Jej Królewskiej Mości guziki mają błyszczące.

W takt orkiestry wracając po odniesionym triumfie do miasta, szedł jak baranek: spokojny był o przyszłość kraju.

Najadł się owsa i nie brykał: w wojennej tylko wrzawie rwał się ten koń bohaterski i pieniał, jakby chciał wieszczym krzyżeć głosem, iż życie jest tylko drogą do wspaniałej śmierci.

Żołnierze Jej Królewskiej Mości guziki mają błyszczące.

Ta łagodność jego, stosowana w odpowiedniej godzinie, sprawiała, że równie bohaterski i w odpowiedniej godzinie równie łagodny pułkownik dał go pod wierzch swej niedawno zaślubionej żonie, jak wiadomo, bogatej córce właściciela kantoru wymiany b. p. sir Izaaka Hanfstaengla.

Dosiadała go pani pułkownikowa i o jutrzni, po snach niepokojnych, pędziła ku parkom, ranną zlanym rosą, gdzie woda w szerokim srebrzy się korycie, gdzie —

Żołnierze Jej Królewskiej Mości guziki mają błyszczące — trawa jako aksamit ściele się pod stopy zabłąkanego wędrowca; gdzie —

Żołnierze Jej Królewskiej Mości guziki mają błyszczące — potężne konary dębów tajemniczym szepcą pogwarem pieśń o nieskończoności.

Uwiązany do odwiecznego pnia ogryzał krzak berberysu, a subtelna jeźdźczyni wczytywała się w „Dziewicę jeziora“.

Ale niestety! Znikome jest szczęście ludzkie, a jeszcze znikomsze byłoby szczęście końskie, gdyby nie cudotwórczy postęp, który dla wyprostowania złamanych duchów stworzył tę instytucję.

Błogosławionej pamięci sir Izaak Hanfstaengl pofalszował weksle i umarł z zgryzoty —

Tragedja chodzi po świecie z zakwefionem obliczem —

Żołnierze Jej Królewskiej Mości guziki mają błyszczące —

Pułkownik, który według zasługi powinien był zostać księciem Johannsburgu lub wicekrólem Indji, zgrał się na giełdzie i ogłosił bankructwo.

Bohaterskiemu koniowi oderwano podkowy i stopiono je na złoto, a gdy zabrakło owsa, oddali go za bezcen — wychudły był i melancholijny — pod biczysko pospolitego rozwoziciela jarzyn.

I tłum go odkrył.

Znałem jego przeszłość, bo któż z nas miałby odwagę się przyznać, że nie jest świadom dziejów ojczystych?!

Nie mogłem dopuścić, aby tak zmarniał haniebnie, on, ten koń nad konie — o nie! ten rumak nad rumaki, który przy dźwięku surm nieustraszenie szedł na nieprzyjaciela —

Żołnierze Jej Królewskiej Mości guziki mają błyszczące.

On, który nieomal wieszczym krzyżeć mógł głosem, że życie jest tylko drogą do wspaniałej śmierci.

Powiedziałem sobie: Niech służy nadal sprawie publicznej i wróciłem go społeczeństwu.

Za chwilę, pod szpicrutą miss Jane Woodrow, będzie jak dawniej, na polu bitwy, ponadmiar wysokie brał przeszkody; jak uskrzydłony, przebijać się będzie przez cztery obręcze naraz, zręcznie wyrzucanemi kopyty o! tych szklanych nie uszkodzi baniek.

A kiedy nadejdzie ostateczna jego pora —

Tragedja chodzi po świecie z zakwefionem obliczem —

Panie i panowie!

Panowie i panie!

Raczie mi wierzyć:

Nie oddam go pod nóż prywatnego hycła, ale skórę zedrze zeń oprawca municypalny, a może nawet uda mi się przekupić głównego raka państwa; wspomnienie pośmiertne pojawi się w dziennikach, krajowych, jako i zagranicznych, a wy, obywatele, składajcie już dzisiaj grosz do grosza, aby ta chwila nie spadła na nieprzygotowanych, abyśmy godny wniesli mu pomnik, z jaśniejącym na froncie napisem:

BOHATERSKIEMU KONIOWI WDZIĘCZNA OJCZYZNA.

Żołnierze Jej Królewskiej Mości guziki mają błyszczące.

VII. PORTAL KATEDRY.

Zalim jest godzien przestąpić próg katedry?

Bramy jej otwarte dla cichych, a żal mój bywał głośny. Wczoraj.

Lecz dziś opancerzyłem już piersi i gardło ściśnięte mam

żelaznym kołnierzem, nie wołam, nie krzyczę, a tylko niemotą zdumionego wzroku próbuję mówić z głazami.

Stoję na trzecim stopniu.

Potężne ostrołuki, w kwiaty rzeźbione obramienia wnęk, Jakubowe symetryczne drabiny świętych, kolumny, pilastry, półsłupy, kapitele, czterolistne krzyże, galerje, fiale, obsypane krabami.

Słońce cień swój wydłuża i rzuca go na króla w kamiennej, liljowej koronie, w sukni o martwych fałdach, nie sięgających kostek. Płaskookrągłe nogi wysunęły się ponad krawędzie kroksztynu, w jednej ręce zwietrzałe jabłko, w drugiej berło, którego szczyt objadły deszcze. Włosy i broda w regularnych zeszywniały kędziorach, a oczy bez źrenic, dwie nieruchome galki, uwięzły gdzieś w dali.

Paszcze gargul i maszkar wiszą rozwarłe nademną: lwice z wyciągniętym lubieżnie karkiem, dzioby kruków, zwrócone ku ścierwu ludzkiego grzechu, diabły rogate, pazurami przyniatające wieprza na olbrzymim jądrze nieczystości, makarele o zapadłych z rozpusty policzkach.

O dniu radosny, w którym było mi dane dotrzeć do głębi duszy, wyprowadzić z niej bliźniacze rodzeństwo, podziw i pokorę, i w niewysłowionych modłach kazać im wielbić portal gotyckiej katedry.

Zapaliły się czerwone, niebieskie, fioletowe, zielone i żółte gwiazdy w wielkim, okrągłym witrażu, od zachodniego słońca spłonęły marmurowe pochodnie aniołów, strzegących Dziewicy, Chrystus, przed chwilą jeszcze uwięzion w trójkącie tympanonu, stanął ponad pastuszym swym żłobem, ponad heblem i dłutem ojcowskiego warsztatu i, żywe podniósłszy dłonie, głaznemi poruszał wargami i błogosławił dzieciństwo, swoje i moje, dzieciństwo biednego człowieka...

VIII. MODLITWA EPISJERA.

Półtora tysiąca lat i więcej protegowaleś, Panie Boże, księży i markizów.

Rozbijali po otwartych drogach, naszymi rękami wznosili zamki i pałace, a gdy nam już sił zabrakło i batóg bez skutku ześlizgiwał się po krwawych plecach, szli o pomoc do tamtych, iżby majakiem Łaski lub przypomnieniem kar piekielnych wiedli nas ku nim na twardym rzemieniu posłuszeństwa.

Ale skończyła się pokora ludu: głowy ich padły pod mieczem Sprawiedliwego, a na miejscu Bastylli, w której godność człowieka marła w obłąkaniu, otwiera nam dzisiaj szlachetny weteran drzwiczki do wnętrza Kolumny Lipcowej.

I po dwustu trzydziestu i ośmiu stopniach wchodzimy na nią swobodnie: pod złożonemi skrzydłami anioła Wolności możemy krzyżeć: „Niech żyje Francja!“ i, dawszy folgę oku, radować się dumną Sekwaną, patrzeć z uczuciem ulgi w pierśsiach, jak symbol współczesnego ducha, potężna wieża Eiffla, panuje bijącym w niebo żelaznem rusztowaniem nad kamieniami zabytkami Zabobonu.

Możemy puszczać wodze tęsknocie aż gdzieś ku niebieskawym borom Fontainebleau, lub też podziwiać wrodzone człowiekowi poczucie piękna, które z Buttes-Chaumont, z tych ongi łysych, opuszczonych gór, z tego odludzia straceńców, z tego — że tak się wyrażę — jenerałnego śmietnika stolicy uczyniła dziś dla nas wiosenną zatokę wychnienia.

Drzewa tam szumią, woda w cementowym szkli się basenie, poprzez mosty wiszące, wśród poszarpanych, czarnych skał, fantastyczne wzdłuż wiotkich poręczy wiją się drożyny, to się gubią, to się jawią, a pary zakochanych błogim uśmiechem towarzyszą ich skrętom!

Wiem, Panie Boże, iż w owych dniach gniewu i pomsty

uczyniliśmy Ci krzywdę: wyrzucono Cię sromotnie z Notre-Dame! W Świętym — sit venia verbo — Sulpicjuszu na ołtarz Twój posadzono Boginię Zwycięstwa i u stóp Jej, w cześć bohatera z pod piramid, wylewano strugi najsolidniejszego produktu naszej Ojczyzny.

Atoli czas przedziwnym jest lekarzem; przeboleś to wszystko, przebaczyłeś, bo któż odpuszczać powinien, jeśli nie Ty, Panie Boże, ucieleśnienie wszelkich doskonałych przymiotów!

Dlatego też, ufniejszy od dziecka, zwracam się dzisiaj do Ciebie; zresztą Tobie jednemu wyznać to mogę, gdyż Ty jeden świadom jesteś wszelkich tajemnic: Jeśli nie zawodzą tradycje rodzinne, mój praszczur wiernym był stajennym królewskiego marszałka, a żona jego postępowała w szeregu z sławnej pamięci panią Szarlotą Corday.

Eh! voila! Tyle mi się nagromadziło trosk i potrzeb, że nie wiem, którą z nich najpierw polecić Twym względom.

Jeżeli jednak łaskawość Twa nie ma kresu, spraw, iżby mój sąsiad, pan Rabattet, jak najprędzej dobił targu z hrabią de Contrexeville, zwinął swoją likiernię i wygodnie się urządził na wsi. Rozumiem, że, syty będąc niedzielnych przejażdżek po Łasku wynajmowanym fiakrem, pragnie własne mieć konie i park zamknięty dla innych.

Nielitościwy to i niebezpieczny konkurent: wódką bije mi wina; ofiarowałem mu spółkę, odmówił. Zjednał sobie Kartezjanów, oddali mu wyłączne na kontynent zastępstwo, a z Combesem — tak się chwali — na jednej siadywał ławie.

Uczęszcza na doroczne święcenia kleryków, a nieprzyjaciół kościoła mówi po cichu, że po to, by się przekonać, czy nie zmniejszył się w nim wstręt do Przesądu: „zresztą” — dodaje — „lubię dekoracje, w operze czy w katedrze, nie ma dla mnie różnicy”.

Niech w Baku palą szyby — walka o wolność zawsze jest

święta —, a w zagłębiu boryslawskim, w kraju na pół dzikich, dostatecznie głupich barbarzyńców, gdzie się zaangażował na sto tysięcy franków, spraw, iżby ropa tryskała obficie,

A gdyby i tam niezadowolona zawsze kanalja zechciała wziąć rozbrat z prawem, miej w swej opiece tych Francuzów północy, podnieś na targach wiedeńskich cenę ich bydła, by z biedy nie tracili głowy i niezbędne stawiali kryminały.

Panie! Wyznam otwarcie: chciałem się odwrócić od Ciebie, boć niegodnem jest człowieka postępu, aby wykraczał poza granice wzroku, a ja Cię nie widzę!

Jednakże w łonie naszym jest jakieś tajemne, niepojęte drganie, które nam szeptem, że z śmiercią nie wszystko się kończy!

A może to tylko złuda?

Może to niestrawiona resztką pokarmu, którym opychały nas wieki ciemnoty?

Nie! nie!... Jakżeż przypuścić, aby dusza moja nie była nieśmiertelną!

Ciało z ciała, doczesność z doczesności, zaś wiecznem jest tylko to, co z wiecznego wyrosło!

Codzienne uczy nas doświadczenie, że wszystko, co żyje, umiera:

Jestem, więc umrę.

Zaś dusza trwać może wiecznie li wówczas, jeśli z wiecznego wyszła źródła; tem źródłem Ty się li zowiesz, albowiem nie przekonaliśmy się dotąd, byś umarł; że jesteś, mówi nam o tem wewnętrzna, elementarna chęć trwania!

Zresztą sam Pasteur wierzył w nieśmiertelność i Stwórcę.

A powtóre, po trzecie, po ostatnie: każą mi czekać na legję, któż mi udzieli cierpliwości, jeżeli nie Twoja wszechcierpliwość.

Chcę kandydować, gdzież w tych czasach zamętu pojęć

i prądów oświecające znaleźć błyski, jeśli nie w Twojej wszechwiedzy.

Któż odwróci nieszczęście od mojej lichy winniczki, jeśli nie Twoja wszechmoc!

Daj, by na starość zgrzybiałe nogi moje nie były zmuszone obijać się o miejskie bruki.

Niech tłum nie patrzy na mnie z zawiścią, że mam odrobinę więcej chleba — i ja jestem z ludu, więc rozumiem, co lud, a co męty i szumowiny —.

Przedsię współrepublikanie moi niech mi nie poczytają za zdradę uczciwych, republikańskich przekonań, że jedyną Mą Córkę, Me ukochane dziecko, powierzam ręką potomka tych starosławnych rycerzy, którzy ongi szli się pasować z pohańcem o Grób Twego Jedynego ukochanego Syna.

Panie! tchórzem nie jestem i śmierci się nie lękam, lecz wdzięczny Ci będę, jeśli Twój Królewski Majestat — s'il Vous plait, mon Seigneur — zechce się ulitować nademną i rozkaże, aby przyszła, że tak powiem — nie! po co myśleć dziś o niej, gdy czas mój, zda się, daleki?!

Raczej nie skąp mi i nadal zdrowia i siły, hym mężnie wytrwał w tej ciężkiej walce do końca.

Niech żyje Francja! Niech żyje Rzeczpospolita! Niech żyje Demokracja! Amen.

IX. RÓWNI Z RÓWNYMI.

My, ludzie prości, poklepmy się po ramieniu — równi z równymi.

A, panie bracie, któremu się zdaje, jakobyś ongi w młodocianym zachwycie klęczał u stóp świętej Cecylji, nie wywyższaj się nad innych, albowiem właśnie biedna dziewczyna

z bordelu skarżyła mi się po cichu, że rajfurka zabiera jej trzy czwarte zarobku.

Pracuj, aby się stała sprawiedliwość na świecie, aby te szczytne wyrazy, świecące na naszych kościołach, aresztach, szpitalach, domach publicznych — Wolność, Równość, Braterstwo — nie były martwą literą.

Pycha przybrała się w perukę pani de Maintenon i poszóstną jeździ kareta: z przodu laufer w czerwonej liberji rozgania onieśmielone tłumy, z tyłu dwóch lokai, z skrzyżowaniem na piersiach rękoma, czelnie się uśmiecha, żem musiał zejść im z drogi, a nasz przyjaciel oszalał:

Ogłosił tom wierszy bez rytmu i rymu i ma odwagę twierdzić, że łokieć jest dłuższy od cala, krowa ma cięższe wymiona od owcy, a koń szlachetniejszy od świni — jak gdyby wesz, karakon i glista nie były tak samo, jak człowiek, stworzone przez Boga, którego, nawiasem mówiąc, wolni od przesądów obywatele, uznać nie możemy.

Równi z równymi — i tu łaskawie poklepał mnie po ramieniu — oto hasło, którem kazał sobie wyhaftować jedwabiem i powiesić nad łóżkiem i które do najnędrniejszej stosuje hołoty, choć mam jeneralną dostawę marchwi do hal, choć na rewji lipcowej sam prezydent Rzeczypospolitej ściska mi rękę, a w willi mojej w Saint-Cloud mieszka potomek Bourbonów...

X. PONT NEUF.

Stoję oparty o kamienną balustradę mostu.

Późny, głęboki wieczór.

Tysiące, miliony różnobarwnych światel topią się w ciemnej tafli Sekwany, skrawe na powierzchni zostawiając kręgi,

jakby tysiące, miliony świętych, skazanych na śmierć męczeńską, w niebiańskich pływało aureolach.

Ogromna, jasna smuga oderwała się od posępnych ścian Pałacu Sprawiedliwości, pełza ku mnie po czarodziejskiem zwierciadle, owija się naokół ogromnych pilastrów, zlewa głowy maszkaronów, dźwigających gzemysy, i, przytuliwszy się na chwilę do spiżowej piersi króla Henryka, rozwiewa się naraz i gaśnie.

Rozbawiony lud zapalił snopy ogni bengalskich: pamiętna feta narodowa.

Od Suresnes, od Sèvres, od Charenton wracają statki; woda z głuchym szumem rozstępuje się ich dziobom i potem leniwie zamyka długie trójkąty fal.

Stoję oparty o kamienną balustradę mostu i słucham.

Plusk...

— Jakiś desperat — mówi do mnie ktoś z tłumu, tak samo, jak ja, gubiący się w tej czarnej, różnobarwnymi kulami światel poszarpanej przędzy uroczystego wieczoru —; zwykła to u nas rzecz.

Na Place du Pont Neuf zgiełkliwa zabawa.

Patrzę:

Imię pan Tabarin rozstawił kozły i krotocwilą śmieszys trąca cizbę. Suną poważne rajcy, w złotym łańcuchu na sobolowych kołnierzach, praczki, chudzi grajkowie w beretach ze zwisającymi piórami; tumanią włosy kuglarze w białych, obszernych workach, o wysmarowanych na białą policzkach; różanopiersne damy w bufiastych spódnicach, w szeroko-skrzydłych kapeluszach, z pasterskimi laskami w ręku; czule modelki z pracowni Greuze'a, alchemiści, wróżowie, czytający losy człowieka z kart i gwiazd i dłoni, rzezimieszki, makarele, gameni.

Pan Wateau inscenizuje wyjazd na Cyterę, a „Gilles“

wykradł się z ram obrazu i, stanąwszy na uboczu, zdumionemi spogląda przed siebie oczyma: młody, naiwny bajazzo.

Cisza...

Długowłose herold uderzył w bęben i woła:

— Zali jest pomiędzy wami Don Juan di Suzor. Mam rozkaz stawiać go przed oblicze Króla Jegomości.

Słynny wędrowny astrolog niechętnie wlecze się ku bramom rzęsiście oświetlonego Luwru.

Halabardy strażników zamknęły drogę ciżbie.

W gabinecie króla spełnia się tajemnica.

Za godzinę zbirowie wynieśli ciężki, skórzany tłumok i rzucili go do rzeki.

Lecz król jegomość, usłyszawszy prawdę, posmutniał.

Poleciał przywołać arcybiskupa Paryża i wsunął mu rulon złota:

— Trzysta sześćdziesiąt i pięć mszy żałobnych, po wieczne czasy, pro salute regis...

Stoję oparty o kamienną balustradę mostu.

XI. FRAGONARD.

Siedziałem tête a tête z Tragedją Miłości.

Dama w całym tego słowa znaczeniu piękna: jasna blondyna o wielkich, piwnych oczach, w ciemnej sukni, zapiętej po szyję.

Długie, alabastrowe palce, lekko splecione na łonie.

Z pod palców wymykał się kwiat róży, snąc co dopiero zerwany: czulem, że zaledwie zdolano otrząsnąć z niego krople rosy.

Zjawisko księżycowe.

Gdybym ją nocą letnią spotkał w świerkowej alei, prowa-

dzącej do grobowca państwa C., po której nieraz lubiłem się przechadzać w samotnika, możebym się i przeraził.

Każdy z nas jest podszyty tchórzem i w pewnych momentach traci rozsądek, czy, jeśli chcecie, zimną rozwagę.

Sądziłbym niewątpliwie, że rozwarły się ciężkie drzwi dębowe i z ponurej, pełnej tajemnic głębi wynurzyła się jedna z prababek rodu, która ongiś, nie mogąc przeżyć zdrady kochanka, poszła szukać śmierci w pobliskim stawie.

Znana legenda — lata i zamięłowanie moich przyjaciół do romantyczności zmieniły ją w prawdę.

Byliśmy oboje przygnębieni, niewiadomo, dlaczego.

Właściwie wiadomo: jedno i drugie miało w życiu godzinę, która sępmi szponami wpiła się nam w serce, krwawiąc je na wieki.

Trudno było skleić rozmowę.

— Wie pan, czytam Hamleta.

— Zapewne po raz setny. Jeśli się nie mylę, najulubieńszą to pani lektura. Naturalnie zajmuje Cię przedewszystkiem — Ofelja.

— Może.

Umilkła.

Byłem rad, że ktoś zapukał do drzwi.

— Pozwoli pani otworzyć?

Błąd twarzyczkę przejrzysty oblał rumieniec, oczy przysłoniła jedwabnemi rzęsami.

— I owszem, jeśli się Panu podoba.

A!...

— Pan Fragonard, malarz nadworny Króla Jegomości.

— Niegdyś, niegdyś... przepraszam — dziś tylko pensjonariusz Luwru.

— Pani Z., moja — jakby to się wyrazić — współbolesnica.

Mały, czupurny staruszek o tłustych, zdrowych policzkach

zaśmiał się łagodnie, a potem czarne, przenikliwe oczka z zaciekawieniem objęły tę czarującą postać uosobionego Smętku.

— Pani cokolwiek schudła...

— Jakto ?!

— Byłem kiedyś w gościnie u Twoich rodziców razem z świętej pamięci de Saint-Nonem. Biedny abbé! nie żyje! Umarł w sam dzień zamianowania go arcybiskupem Rouen'u.

Pewnego poranku podpatrzyliśmy Panią mimowoli, jak się bawiła z miluchnym pinczem. Widzieliśmy słodkie, utoczone nóżki i — jeszcze coś więcej...

— Jak Pan śmiesz!!?

— Niech się Pani nie obraża — mnie już wszystko wolno...

Zresztą miałem na myśli ciasteczko, któreś rozkosznie podawała psinie... Dam też Pani radę: kobieta, leżąc na wznak, powinna zawsze pamiętać o zamykaniu drzwi...

Czułem, że w powietrzu zaczyna się gromadzić burza.

Zrobiło się parno, jak w łaźni.

Mistrz Jean Honoré usiadł spokojnie na krześle, zato pani Tragedja podniosła się z miejsca i wzgardliwym, dumnym zmierzyła go wzrokiem.

Niebawem jednak opanowała się zupełnie.

Wrodzony takt i wychowanie walne odniosły zwycięstwo.

Przytem trudno się przyznać, że godność kobiecą obrazić może pierwszy lepszy zdeklasowany malarz.

Zajawszy dawną pozycję, jasna blondyna o wielkich, piwnych oczach, w skromnej sukni, zapiętej pod szyję, z kwiatkiem w długich, alabastrowych palcach, uderzyła w ton poślizgliwy, zaprawiony pewną poezją.

— Jeżeli o to idzie, przypatrz się Pan tej róży: zda się, nieskazitelna, a ciemny pąs tego listeczka przybladł na kraju; zwarzyła go spieka, a nawet — o! — nadgryzł go nieznacznie

jakiś owad. I na słońcu są plamy. Niedelikatnie jest tylko wypominać przeszłość...

— Więc co?? Mam się zachwycać tem nędznem dzisiaj? Jakżeż pani wygląda!?

Ręce tylko złożyć w krzyż, kazać się ustawić na kroksztynie Panny Marji Paryskiej i osłupiałym wzrokiem spoglądać ku Mordze!

Nie żał Pani tych czasów, kiedy w dziewiczych snach przychodził Eros do Ciebie, całował rozchylone żadnym oddechem wargi, a niewidzialne chóry amorettów śpiewały hymn na cześć Twej nagości, na miękkim złożonej posłaniu i czekającej, aż sen przemieni się w jawę?...

A w co on się obrócił przez tę waszą żebraczą, idealną miłość?

Siedzi w towarzystwie Pani jak struty, osowiał, odrętwiał i budzi się tylko wówczas, gdy wasza społeczność, zamianowawszy go łaskawie swym garsonem, każe mu nad grobem tak zwanych „szlachetnych“ żałobne wygłaszać mowy, brać udział w odsłanianiu tanich pomników i wbrew naturze spełniać funkcje ajschylosowskiej płaczki!... Brr!...

My, ludzie dawni, urządzaliśmy się inaczej.

Każdy z nas wiedział jedno:

Życie wesołą jest komedją, którą trzeba odegrać do końca z humorem i przytomnością umysłu, wyzyskując każdą godzinę i żadnym, byle zdrowym, nie gardząc owocem.

Pewnego dnia wpuściła mnie do swej alkowy pani de S...

Nie wymienię nazwiska tej damy, gdyż w waszych oczach uchodzi to dzisiaj za pohańbienie sromu.

Nie zdążyłem wyczerpać czułości, gdy w przyległym salonie usłyszeliśmy kroki męża. Odsuwam rygiel, by mieć otwartą drogę do odwrotu.

Raz jeszcze mnie pocałuj na pożegnanie! — szepnęła omdlałemi z rozkoszy ustami.

Całuję, a pan małżonek niemal odchyła kotarę.

Pensjonariusz Luwru, któremu republikańscy współobywatele każą oceniać smarowidła narodowych kiczarzy, uwieczniających na płótnie słynne dzieje Rewolucji, zmienił się naraz w dawnego „Frago“.

Spojrzał chytrze na moją towarzyszkę, jak gdyby chciał się przekonać, czy wrodzona jej wstydlivość nie doznaje uszczerbku.

Działo się z nią coś dziwnego.

Machinalnie miała listki róży, a oczy jej wpatrzyły się — nie wiem, w przeszłość czy przyszłość. To jedno było widoczne, że wewnątrz jej toczy się walka: to groźnie ścigały się jej rysy, to znowu na ustach ledwie dostrzegalna, motyla siadywała bladeść.

Mistrz nad mistrzami mówił dalej:

— Albo, proszę Pani, innym razem wyjechaliśmy do lasu.

Mlle. Guimard zrzuciła z siebie wiotkie tiule i prawie nago wykonała na świeżej, wonnej murawie jeden z tych przepysznych tańców greckich, którym tak się delectował Dwór.

Wtem przybiega do nas zacny pan de Brissac i woła:

— Chodźcie co tchu zobaczyć obraz, godny pendzla naszego genialnego Fraga!

Oczywista, poszliśmy.

W śnieżnych pianach górskiego potoku, w cieniu jaworu czy klonu, kąpią się najady!

Tak harmonijnych pleców, jak u jednej z tych bogiń, nie spotkałem już nigdy.

A te piersi u drugiej!

A te łydki i zróżżowane pięty u trzeciej!...

Zaś opodal bachantka, z podwiniętymi, jakby z kamienia

ciosanemi nogami, z główką w tył przechyloną w obiecującym marzy uśpieniu.

Taką zapewne była matka ludzkiego rodu, Ewa, kiedy, wyszedłszy z rąk Arcymistrza, poczęła przez sen uśmiechać się do pokus węża.

Szkoda, że wówczas nie żył jeszcze pan Crebillon, bo na rodziny pierwotnego grzechu byłby lepiej opisał, niżli to czynią staroświeckie, niezdarne legendy.

Mon ami-cochon Diderot twierdził, że kobieta jednym podniesieniem koszulki zdobywa świat, albo przynajmniej intratny urząd dla męża.

Prawda.

Rozkoszna Dubarry stała się w ten sposób nielegalną władczynią naszej drogiej Ojczyzny. Niewinna ta czynność gotuje szczęście jednym i drugim.

Doświadczył tego częstokroć mąż przemądrej pani d'Esparbes, któremu wynaleziony przezeń aforyzm „życie jest huśtawką” otworzył na oścież podwoje łaski Króla Jegomości.

Możny ten protektor kancelistów, mających ambicje zostania radcami królewskiego dworu, zawołał mnie raz do siebie i mówi:

— Słyszałeś zapewne, drogi mój Frago, że głęboki wymyślił aforyzm: „życie jest huśtawką” —

— z której nie trzeba robić tragedji — dodałem.

— Tak jest. Otóż chciałbym, ażebyś mi to uzmysłowił na płótnie.

Pokażę ci, jak to najlepiej uczynić.

Zaprowadził mnie do ogrodu, pełnego, jak zwykle, marmurowych kupidynków i nimf.

Z dyskrecji, pomiędzy nami mówiąc, całkiem zbytecznej, schowałem się za postument klasycznego bóstwa.

Markiz położył się wygodnie w krzakach.

Z konarów wspaniałego drzewa zwisały dwa sznury huśtawki, trzeci, odpowiednio długi, trzymał, w rękę kandydat na radcę królewskiego dworu, w przyzwolite usunąwszy się oddalenie.

Na huśtawce siedziała znana mi dobrze urocza pani Margieryta.

Pan d'Esparbes dał znak.

Szlachetny małżonek z takim zapałem jął huśtać swą dobrodziejkę, że pantofelek z prześlicznej jej nóżki uleciał, jak kolibr, w powietrze.

Rozwiał się falbanki, dowcipny aranżer zabawy i ja ujrzelismy różowe kolana i — jeszcze coś więcej, z czego nie trzeba robić tragedji.

— Cynik pan jesteś! — wrzasnałem. — Nie masz względów dla kobiet.

— Cynik?!...

Pan Fragonard uśmiechnął się, czarne oczka utopił w nas obojgu, i zda się, nieco obrażony, schwycił kapelusz, grzecznie się uklonił i — Madame! Monsieur! — odszedł.

— Byłeś pan zbyt szorstki dla tego staruszka — szepnęło moje vis-avis, jasna blondyna, zapięta po szyję.

Nie trzeba zaraz z wszystkiego robić tragedji.

Spojrzałem jej w wielkie piwne źrenice.

Patrzyła na mnie długo i wymownie, zapomniawszy ukryć nóżkę, którą, widząc, niechcący, w czasie opowiadania Fraga, wysunęła z pod rąbka skromnej sukienki...

XII. PANA ANTONIEGO C. WSPÓŁWŁAŚCICIELA FIRMY ANTONI C. & SP. PRZY ULICY M. SEN O SĄDZIE OSTATECZNYM.

Nigdy w sobie nie czułem zdolności pisarskich, lecz dzisiaj chwytam za pióro, aby się z Wami, kochani Ziomkowie i Wspólnicy moi, podzielić zarówno strasznym jako i rozkosznym wrażeniem ubiegłej nocy.

W niezłym pożegnaniem Was humorze: jak wiecie, ubilem interes, który mi przyniósł kilkanaście tysięcy na czysto; trafiła mnie wprawdzie uwaga jednego z Was, jakoby kontrahenta sprytnie wywiódł w pole, przypomniałszy sobie jednak przysłowie: „głupi dwa razy traci“, znalazłem ulgę w myśli, że on, jeśli stracił, to tylko raz jeden, a gdy straci raz drugi, jego wyłącznie będzie winą.

Zresztą spryt, jak wszystkie szlachetne przymioty, odróżniające człowieka od zwierzęcia, jest darem nieba, z którego korzystaj, aby nie zastosowano do ciebie ewangelicznej przypowieści o włodarzu, co zakopał talenty.

Mój Boże! nie mogę się skarżyć na brak powodzenia, nawet żona, dowiedziawszy się o przyroście chudoby, przestała gderać i, pocałunek składając mi na ustach, powiada wstydliwie:

— Chodź, przypomnijmy sobie wiośniane lata narzeczeństwa.

Nie taję się przed Wami, iż, dbając o wycieńczone jej zdrowie, umiałem tej zacnej kobiecie wytłumaczyć, że pora jest spóźniona i jutro trzeba opuścić łóżko rzeźkim i wypoczętym.

Pomny też byłem gadki, zasłyszanej od syna, którego kieruję na adwokata, gadki czy bajki nader głębokiej o jakimś królu Polykratesie, opiewającej, iż nigdy nie należy zbytnio kusić szczęścia, ponieważ może się odwrócić — nie powiem:

w godzinie niepowołanej, gdyż każda godzina, w której się szczęście od nas odwraca, jest niepowołaną.

Po tym wstępie, niezbędnym dla zaokrąglenia całości, czyli raczej do nadania głowy mojej relacji, przystępuję do rzeczy: Wyobraźcie sobie:

Ledwie się otuliłem w wygrzaną przy piecu kolderkę, zacząłem — mówiono mi o tem, gdy się obudziłem — mocno chrapać i jęczeć i rzucać się, jak szczupak przed Wilgą; nie dziwota: zmagalem się z potęgami, na przewycięzenie których nie starczą siły olbrzyma, a ja jestem Ten, co je zmógł.

Otóż na obłokach, kształtu ogromnych pierzyn, wydętych puchem edredońskim, którym handlował mój ojciec, stanęli, plecami do siebie, dwaj aniołowie i zatrabili w trąby — w pierwszym momencie mniemałem, że ulane z szczerego złota, ale gdy się im bliżej przypatrzyłem, przyszedłem do przekonania, iż tylko mosiężne.

Chciałem zawołać:

— Niebios! mogłyby sobie pozwolić na metal kosztowniejszy.

Atoli myśl tę, widząc, bezbożną, stłumiłem w samym zarodku huk, jakiegom dotychczas nigdy w życiu nie słyszał.

Jeden z aniołów trąbił ku północy, drugi ku południowi; potem obrócili się i, oparłszy się wzajemnie łopatką o łopatkę, grzmieili, jeden na wschód, zaś drugi na zachód, iżby na wszystkie strony świata rozeszło się zaduszne Dies irae.

Nie ulegało bowiem najmniejszej wątpliwości, że obwieściano Sąd Ostateczny.

I oto ziemia rozstąpiła się na dwie połowy.

Po czarnych ścianach przepaści ślizgały się węże, ohydne potwory, ziejące siarką i smołą.

Z bezdni strzelał płomienisty Ocean, stokroć większy od tej wyuzdanej pożogi, która przed laty — pamiętny to dla

nas dzień — obróciła w popiół kantor tego męczennika i — nie obwijajmy w bawełnę — lekkomyślnika Adolfa.

Krażyły słuchy, iż sam podpalił, dostał się też do kryminału, skąd wróciwszy rozpił się i umarł z zgryzoty, z nieuzasadnioną do nas pretensją, iżemy go nie uchronili od katastrofy.

Wiadomo, że część winy usiłował zwalić na mnie, ale Bóg strzegł — wezwano mnie tylko na świadka.

Teraz postać jego, obrzękła i jakby wyniszczona rozpustą, płynęła ku mnie na rozszalałych falach ognia.

— Piekło! — krzyknąłem — taki, mój kuzynie i kompanie, spotkał cię los za życie na żart, za wyrządzoną nam wszystkim krzywdę!

Była to jednak fatalna pomyłka — nie otchłań to wieczystego potępienia, lecz Czyściec. Albowiem z płomieni wydobywał się jęk i płacz i wołanie:

— Przebaczone nam, litościwy Sędzio! Masz słusność — niewątpliwie! Śmiertelne przygniotły nas grzechy, czołgaliśmy się po ziemi jak płazy, przecież w spełnianiu choćby największych występków nie opuszczała nas Wiara w Twe Miłosierdzie bez granic, ani Nadzieja, że w bezmiarze Twych łask wszelka topi się niedokładność — czy to będzie tak zwane fałszywe bankructwo, czy jakaś inna nieogłędność lub zbytnie zacietrzewienie!

I odpowiedział im Głos:

— Skruszeni jesteście i pokorni, przebaczone!

W oczach moich stał się cud.

Ziemia zawarła się z powrotem, na miejscu ognia i potworów rozścielił się różnobarwny, puszysty, rzekłbym smyrneński, prawie taki sam, jak w moim saloniku, w kwiaty dzierzgany dywan, na nim olbrzymie kaktusy, wypchane pawie, araukarje, begonje, wylbrzymiałe orchideje, magnolie, wachlarze palm!

Pod ich baldachimem snują się rzędy młodzianek i dziewic — ta z lilją, tamta z różą, ta z pękiem rezedy, tamta z gwoździkiem, inna z „niezwykłym, rzadkim“ chryzantemem, znowu inna z tuberozą czy narcyzem, a pomiędzy nimi starsza moja córka w wianku mirtowym i białym welonie; przy fortepianie znany wykonawca-wirtuoz i artysta kompozytor w niebieskim fraku, a wszyscy sunęli i sunęli, śpiewając „Hosanna“ i „Jubilate Domino“!

Za nimi z pochyloną głową nasz pocziwy Adolf, przeobrażony do niepoznania; obrzękłość znikła niemal zupełnie, oczy, podobne dawniej do ślimaczych łebków, nabrały klarowności.

Zobaczył mnie i przyjaźnie się uśmiechnął.

Nie potrzebuję Wam chyba zaręczać, że się serdecznie ucieszył, zauważywszy w nim to nagłe odrodzenie.

Dźgnęła mnie tylko jakoby zazdrość, że takiego dostąpił zaszczytu były kryminalista i po empirejskich kroczy ko-biercach.

Alem w czas ją przytłumił, bo juścić nie godzi się zawiścić umarłym, tem bardziej przyjaciółom.

Nasz ksiądz kanonik, który tak łaskaw bywa na skromny mój dom, wspomniał ostatniej niedzieli z ambony o kozłach i barankach.

Z przejęciem słuchając kazania, anim się spodziewał, że tak prędko danem mi będzie obraz ten na własne oglądać źrenice.

Oto z grobów ruszyli się umarli i w nieprzeliczonej ciżbie czekają, w słusznej od Majestatu odległości, na nierychliwe, lecz sprawiedliwe wyroki.

Święty Woźny niebieskich trybunałów cytuje każdego z osobna i każdy z osobna zjawia się przed Sędziowskim Obliczem.

Jeden Archanioł z otwartym wielkim Bilansem w ręku czyta „Ma“ i „Winien“, a drugi Archanioł kładzie to wszystko doczesne saldo człowieka na wagę i waży.

Stosownie do tego, która przeważy szala, ta z sumą Dobra, czy ta z kwotą Zła, odzywa się głos:

— Umieścić go pomiędzy kozłami!

albo:

— Niech powiększy szlachetne stado baranów!

Z niekłamaną trwogą, a zarazem i współczuciem spostrzegłem mego kontrahenta w włosistej, brodatej postaci kozła...

— Czuję — szepnąłem —, żeś w znanej głupocie swej zamierzył wezwać mnie przed kratki, zamiast uczyć się odemnie, jak należy pomnażać, mówiąc ewangelicznie, swe talenty, ażeby nie ściągać na siebie urągawiska dobrego Arcywłodarza, a sobie podziw u ludzi fachu.

Sroga dotknęła cię pomsta. Przecież żal mi ciebie, bom nie jest z glazu, tylko z ciała i duszy, stworzonej na obraz i podobieństwo Boże i Miłosierdzie Moje nie zna granic!!!

Straszniem zadygotał, gdy od strony trybunału usłyszał moje własne, rodowite, powszechnie czczone nazwisko.

— Jakto?! — jęknąłem. — Nie jestem wszakże trupem, lecz żyjącym obywatelem!

— Cicho, ty błaznie i oszuście! — odrzekł Święty Woźny i kluczami uderzył mnie w plecy.

Ścisnąłem pięść, aby mu się odwzajemnić, atoli w tej uroczystej, a tak niepewnej, przerażenia i nieopisanej grozy pełnej godzinie przywiodłem sobie co tchu na pamięć ową starą, wypróbowaną, katechizmami uświęconą naukę, którą mi wpajano za młodu, a która zawsze była drogowskazem mego żywota:

— Bądź pokorny i posłuszny, albowiem pokora przebija

niebiosą, a nieposłuszeństwo jest bramą, wiodącą do Czułości piekieł. Przytem:

— Pokorne ciele dwie matki ssie.

— Nie poufal się z koniem i nie laskocz go pod pęciami, bo, nim się spostrzeżesz, palnie cię kopytem w łeb, aż drogocenny wytryśnie ci mózg.

— Zawsze też miej poważanie dla postronka, gdyż wiadomo, czy ci ostatniej nie odda przysługi.

Dodać do tego wypada, że w uszach nie przebrzmiał mi jeszcze głos, zwrócony ku Męczennikom Czyśćca:

— Przebaczam, boście skruszeni i pokorni.

Gdy już szedł przed kratki, stała się rzecz okropna.

Jeszcze teraz, pisząc Wam o tem, ledwie mogę utrzymać pióro.

Z płomiennej ławy podniósł się Szatan — czy uwierzycie: w berecie i w czarnym, długim, szerokim worze, podobnym do rewerend, w jakich zwykle prowadzą kondukt pogrzebowe protestanccy pastory — lichi to zaszczyt, że strój ich okrywa Mocarzy podziemnych, jednak naturalny to wynik głoszenia bezbożnych herezy — — — a więc sam Szatan podniósł się z miejsca, pazurami oparł się o poręcz, przechylił się nieco naprzód i badawczy, ostry wlepiwszy wzrok w oblicze Sędziego, piorunującym zahuczał grzmotem:

— Wysoki Trybunale! Nie wątpię, że wyrok ferowany na tego łotra (!!!???) będzie sprawiedliwy, kazałem już odrazu przygotować torturę, najodpowiedniejszą dla tego rodzaju członków ludzkiego społeczeństwa — —

Nie dokończył, gdy, niewidzialną pchaną mocą, wysunęła się przedemnie szafa wertheimowska w gęstym wieńcu liżących ją cheiwie ognistych języków.

— Wiem — zagrzemiał Szatan dalej —, że rozmiary tego skrytego złodzieja — nie miałem już odwagi przeczyć, stro-

piony będąc lękiem i trwogą — zbyt są wielkie, aby się mogły w tem niejako Prokrustowem pomieścić łożu, lecz pacholko-
wie moi połamią mu golenia, a iżby nie próbował się wydostać,
każę go do niej i z wierzchu i ze spodu i ze wszystkich czterech
boków przywiercić. Oto siepacze z grubymi, stalowymi świ-
drami.

Pot zimny oblał mi czoło, po grzbiecie przeszedł dreszcz,
kości moje zachrupotały, jak kości upiorów, ale umysł i jakby
natchnienie wzdychać nie utraciły swej władzy.

Padłem w proch i pył i jałem się kajać:

— Nieuchronny, litościwy Sędzio! Masz słuszość! nie-
wątpliwie!

Śmiertelne grzechy przygniotły mię do ziemi, czolgam
się po niej jak gad, przecież w spełnianiu i największych wy-
stępków nie opuszczała mnie Wiara w Twe Miłosierdzie ani
Nadzieja, że w bezmiarze Twych łask wszelka topi się nieroz-
waga, czy to będzie fałszywe bankructwo, czy jakaś inna nie-
ogłędność lub zaciętrzewienie!

— Zresztą dotychczas jeszcze żaden z moich dostawców
nie powziął podejrzenia, jakoby miał zamiar zwinąć interes
wśród okoliczności, iż tak się wyrażę, niepewnych, a więc
jasnem jest, że polegają na mojem sumieniu.

— Nie było też u mnie komisji, mającej przychwycić
mnie na — niedokładnem księzkowaniu, a więc nie istniał
dotychczas powód do jej wkroczenia.

— Jeżeli się czasem zdarzyło, że ktoś z moich odbiorców
otrzymał towar, mówiąc ich gwarą, nierzetelny, niech swe
żałoby skieruje do hurtowników, nie do mnie.

— Prawda! Zarobiłem wczoraj na sprzedaży mej rudery
cokolwiek więcej, niż drukowane przepisują skrupuły, lecz
chyba tylko nowicjusze mej branży mogą być na to wrażliwi,
takich jednak, chwała Bogu, niema.

— A gdyby nawet wymyślił Szatana, tego wroga Rodzaju,
któregoś Ty w słusznym gniewie stracił z niebiosów, chciał
to podciągnąć pod nomenklaturę oszustwa (pfe!), to już Rzy-
mianie, mistrze prawa i sprawiedliwości, uczyli — napo-
mknął mi o tem nie w ciemie bity mój syn i bardzo mi się to
podało —: *mundus vult decipi, ergo decipitur* —

— Ten świat — bo *mundus* znaczy świat —, który Ci tyle
sprawia kłopotów, który nie słucha Twych przykazań i przeto
jest wart, aby go smagała różga — lepiej dla niego, że moja,
gdyż pod Twoją, jeśli się podniosła na przekór Miłosierdzia,
całkiemby zginęła...

— Nie chcę, Panie, abyś mnie posądzał o chępliwość.

— Przecież na tych szalach, wahających się w ręku Twych
Archaniołów, niech też zaważy i moje „Habet“, jeśli już moje
„Debet“ w taki niepomierny gniew wprawia bezlitośnego
Władcę Ciemności.

— Damy, chodzące po wielkotygodniowej kweście, nie
odstąpiły od mych progów bez sutej jałmużny.

— Co roku na gwiazdkę sprawiam biednym sierotom
i pończochy i buciki, a wierna towarzyszka mych smutnych
i wesołych dni niejedną obdarza je sukienką.

— Utrzymuję biedną dziewczynę — i to w tem życiu
przykrem prawdziwe jedyne moje „Habet“, nie czyniąc
krzywdy ognisku domowemu: żonę nie tylko w dzień imienin,
ale na każde urodziny obsypuję klejnotami; wcale się tego
stosunku mego nie domyśla — wy mnie nie zdradzicie, bo
i ja znam wasze sprawy —, gdyby jednak, nie daj tego Pa-
nie — ostatecznie powiedzieć nie może, iżby jej lata...

— Przyczyniłem się hojną składką do budowy kościoła.

— Zdemoralizowana niezdrowymi prądami w literaturze
i sztuce młodzież posiada karzącego we mnie opiekuna.

— Podwładny personal może ze sutej renumeracji nowo-

rocznej sprawić sobie w noc sylwestrową niejedną wazkę ponczu; wiem, że wierniej mi służyć będzie.

— Jednem słowem: Biorę, ale i daję!!

— Tak! Bierz, ale i daję — odpowiedział ku mej niewysłowionej uldze, sprawiedliwy Sędzia, zwróciwszy się ku Szatanowi, jakby mu chciał okazać, że w pogardzie ma jego złość niepowściągliwą.

I Lucyfer zgrzytnął zębami, podwinał bawoli ogon i w strasznym zaryczał bólu: przytarto mu rogów!...

Potężny, światowładczy Majestat kazał mi się zbliżyć do siebie.

Przykląknę na jedno kolano i w tej sekundzie uczulem błękitną wstęgę na szyi.

— Tak! Miałem poważanie dla stryczka i oto —

— Nim się zamieni w baranka — zawołał Pan nasz i Król — oprowadźcie go w triumfie: niech ten zgromadzony lud bierze sobie przykład z niego!!!

Nienawidzę poetów, tem więcej, że jeden z nich raczył mnie opisać w gazecie. — A głodomorze ty jeden! Żal ci, że mam „okrągły brzuszek“?! Za pożyczkami biegać nie potrzebuję, więc mi „krótkie nóżki“ wystarczą —, gardzę hołotą gryzipiórków, grajków, smarowników i gipsiarzy, a jednak dzisiaj chciałbym posiąść ich wyobraźnię, ich pendzel i dłuto, ich moc w uderzaniu w klawisze, ażeby w godnych przedstawili Wam rysach i kształtach i tonach tę rozkosz i słodycz, która rozlewała się w mych piersiach i wogóle w całej mojej istności!...

Aniołowie pańscy wzięli mnie pod rękę i wiedli szpalerem rozstępującego się ze czcią narodu, dziewczątka w bieli rzuciły przedemną kwiaty, jedna bardzo piękna panienka wręczyła mi wielki bukiet, a tłumy śpiewały i wołały: „Niech nam burmistrzuje i prezesuje! Niech w parlamencie broni

naszych nieprzedawnionych praw, niech będzie ministrem — On jeden! On jeden!“

Wkońcu sam Pan Jezus, siedzący na hebanowym tronie, inkrustowanym perłową macicą, przytulił mnie do swej rany i, wskazując na krzyż, wyrzekł uroczyście:

— Pamiętaj, abyś zawsze kroczył drogą, nad którą zawisło to godło, a Ty, Duchu święty — zwrócił się do Gołębki, fruwającej pomiędzy Ojcem a Synem — leż na niego Swe Światło, iżby nigdy nie stracił rozsądku!

Zbudziłem się...

Było już późno.

— Po niespokojnej nocy tak smacznieś spał nad ranem, żem cię nie chciała budzić — powiada mi żona.

Pocałowałem ją w usta i mówię:

Należało mi się to... Widziałem we śnie rzeczy, pełne tajemnic, i zjawiska, które są jakby zapowiedzią naszego nieustannego szczęścia.

Uważam sobie to za dobry omen i stąd też opisuję Wam to wszystko, drodzy moi Ziomkowie i Wspólnicy nie wahajcie się iść ze mną pospołu — przez życie...

XIII. STAROŻYTNY KOŚCIÓŁ.

Wzrosłem pośród twych ruin, ty starożytny kościele!

W letnie poranki, pijany wschodem słońca i szumem zbóż, biegłem do ciebie i w cieniu twych szarych, polnych głazów, bujnym uwieńczonych chwastem, kołysałem mą duszę razem z trawami, kołyszącymi się na mogiłach.

Grubo ciosane głowy bożków, z pogańskiej ponoć kontyny, martwo patrzące na innych, wiodły ze mną rozhovor, którym przez długie lata pobrmiewał mój nieudolny, samotny śpiew.

Dzisiaj odbudowały cię pobożne, troskliwe ręce.

Romańskie dwa okna, niby żrenice, skupiają w sobie rozległe, niezapomniane dla mnie równie.

Prawnukowie tych, którzy bolesnymi byli świadkami twego upadku, spieszą w twe wrotnie, dziękczynią u twych ołtarzy odrodzonemu życiu i modlą się o szczęście dla siebie i innych — może i dla mnie...

Lecz ja nie umiem już chwycić za kij pątniczy, przepasać się szkaplerzem, zmieszać się z tłumem moich najbliższych braci i błogosławić twej zmartwychwstałej świetności.

Stoję z daleka i żal mi, że groby zrównano z ziemią, że na twych kruszących się kamieniach nie rosną już mchy, rozchodniki i bluszcze.

Głośnie, uroczyste „Te Deum laudamus“ wyгнаło z wnętrza twojego Smutek, który, błakając się, jak ślepiec bez dachu, spotkał się na drogach rozstajnych ze mną, zamieszkał na zawsze w mem sercu i nieraz w ciężkich, niespokojnych snach, wiedzie mnie ku twym zwałiskom, ty starożytny, romański kościele i, jak za dawnych lat, każe mi daremnie czynić wysiłki, zali przez twe wązkie, gruzem i kośćmi umarłych zawalone podziemia nie dotrę do światła...

XIV. O WALĄCYM SIĘ DOMU.

Zbudowałem sobie dom i już się wali.

O mój walący się domie!

Trochę za prędko zmieniasz się w ruinę, prędzej, niż mógłby się spodziewać człowiek, który ma powieki otwarte na śmierć.

Wszystkiem obchodził pustkowia, wszystkie ugory i bezpłodne wydmy, kamienie-m wyrwał z pod gęstwi zielsk

i rów wykopawszy głęboki, że starczyłby mi za grób, rzucałem je tą ręką na fundamenty dla ciebie.

Raz, kiedyś pobiegł w pole, szukając czworogrannych głazów na narożniki, obsiadły mnie psy: omal ze śmiechu-m nie zginął, jak te zajadłe bestje szczyrzyły kły do mych pięt i jakie musiałem wyprawiać młyńce, aby nie zadać kłamu nauce, iż pragnienie życia silniejszym jest od żądzы skonu.

A kiedyindziej takem się podźwigał, że, leżąc w gorączce, urosłem w swych oczach na owego potulnika, który na Trupiej Górze pomagał Panu wyzwalać świat...

O mój walący się domie!

* * *

Widzę, że zbytńich dostępujesz honorów,
ty mój walący się domie!

że zaczynam mówić o tobie, jako o czemś, co wartością przewyższa wór mąki, albo statek, wiozący z dalekich krajów nici jedwabne na pończochy dla dam, albo godność człowieka, który na wielkiem zgromadzeniu wdrapał się na stół i wśród oklasków Raj obiecuje tłumowi.

A przecież zbudowałem cię na odludziu, na pograniczu spraw, w których najprzenikliwszy mędrzec nie znajdzie związku z dukatem, płaconym dziewce ulicznej,
albo z chorągwiąną, gromniczną ekshumacją zwłok zapomnianego artysty,

albo z niecierpliwością narzeczonej, umierającej z tęsknoty do podróży poślubnej w wygodnym, samotnym wagonie,
albo z triumfalnem ogłoszeniem Rzeczypospolitej na gruzach monarchji,

albo z rozpaczą mamki, tracącej pokarm!

Nie dostrzeże związku:

z bohaterskim wodzem, z majakiem wstęgi orderowej
w duszy prowadzącym żołnierzy w bój za ojczyznę,
ani z zadowoleniem wołu, wyprzęgniętego z pluga,
ani z dziennikarską reklamą dla konstruktorów nowej od-
miany rytmu i dla wynalazców nowych sposobów czyszczenia
kloak miejskich,

ani też z skowitem psa, co się wyśliznął z pętlicy raka-
rza.
A może...

Ogromne, zielone płomienie jaworu nad moją głową.

Potok przewala po głazach roztopy seledynu.

Krzewy głogu krwawią się na czarnej, łupkowej, prosto-
padłej ścianie.

Mże sierpniowego południa snują się po łąkach i owsach ku
niebotycznym góróm...

a wzrok mój osłabł...

I, napół ślepy będąc, straciłem miarę rzeczywistości: wy-
glądasz mi w słońcu na pałac, w księżycu na zamknięte, pełne
widm zamczysko, a jesteś tylko przenędną lepianką, ty mój
wałący się domie!

* * *

Wzniosłem ci portal,
o mój wałący się domie!

W blokach z czarnego marmuru wyrzeźbiwszy święte,
stawiałem je na skrzydlatych gryfach, jeden nad drugim,
izby tworzyli chór, niebiosom kamienne podający pieśni,
wyśpiewane Duszy, która się zmogła ze Złiem.

I, mając przed sobą kosz jabłek z dzikich jabłoni, rosną-
cych po miedzach, i garść fioletowych jagód z kęp leśnych,
wyczekiwałem od rana do zmierzchu i od zmierzchu do rana,
zali nie wejdzie do wnętrza twojego Ten, co serce ma z ognia
i jednym tylko przemawia wyrazem: Wieczność.

I raz mi się zdało, że wszedł.

Padłem na ziemię z wyciągniętymi rękoma, a potem, zer-
wawszy się, szalony z radości, pobiegłem na drogi rozstajne,
na ulice i place, przed kościoły i ratusze i jałem krzyczeć:

Jest!...

I to był mój śmiertelny grzech.

Albowiem znalazłszy skarb, trzeba go chować przed ludźmi.

Pytali się: kto?

Spieszcie zobaczyć, odrzekłem: Świątynie-m zbudował na
pustkowiu; sfinksy jej strzegą, po piersi zanurzone w piasku,
który je obsypuje od niepamiętnych dni; nie u was, lecz
u mnie zamieszkał Bóg!

Roześmiali się, jednak, ciekawi, poszli.

Lecz przybywszy na miejsce, spostrzegli odrazu,

o mój wałący się domie! —

że próg twój, wyciosany z pnia sosny, zgnił od deszczów,
że okna, wybite kamieniami złośliwych wyrostków, poza-
klejano papierem,

że na ścianach, niebielonych od lat, zwiesza się brudna
pajęczyna,

że stół się chwieje na spróchniałych nogach,

że, zamiast krzesła, położono deskę na czterech kółkach,
wbitych w ziemię,

że nawet figura Chrystusa, zapewne skradziona z przydroż-
nej Bożej Męki lub z opuszczonego klasztoru, w nienależym
poszanowaniu: tak ją popstrzyły muchy.

— A któż wy, że tak mi śmiecie uragać? — zawołałam. —
Ty pierwszy lepszy z brzegu, znam cię! masz minę pospolitego
fałszerza weksli!

Ty okradłbyś pryncypała, ale się boisz, by cię nie zamknięto.

O tobie, moja pani, wiem, żeś — do wyboru — siebie lub

córkę ofiarowała staremu rozpustnikowi, panu X. z ulicy Y.
Ma kilka kamienic i wieś — nie prawda?

A pani gaszek już wyjechał, czeka w Florencji, trzeba okłamać małżonka i za nim...

Ty ściskasz rękę i bywasz na kolacjach przyjaciela, któremu uwodzisz żonę, a ta, znieprawiona twymi karesami, mizdrzy się już do innych...

Ty lichwiarskie bierzesz procenty!

Ty szachrujesz z sobotniami wypłatami!

Pani szeleścisz jedwabiem za krwawicę nędzarzy!

Ty kupileś utrzymance bransoletę, a dzieci twoje chodzą obdarte i głodne!

Ty za hojnym poręczawicznym sławisz po gazetach narodowe zasługi pospolitych wydrwigroszów.

A ty — —

O mój walący się domie!

* * *

Nie wywyższam się nad innych; nie jestem ani lepszy ani gorszy od tamtych i dlatego też płakać nie będę nad tobą,
o mój walący się domie!

Lecz z Marigny lub Folies-Bergère zabiorę dziewczkę, pyszniącą się w przechodzonym płaszczu jakiejś bogatej damy, albo — szczerzej i otwarciej — z najlichszego Cabaret au Coq w tandetnej, wełnianej spódnicy, opłotę ją resztkami bluszczu, który tak bujnie i smutnie piał się wczoraj aż pod twój dach, a dzisiaj padł ofiarą krów i pastuchów, i każę jej tańczyć kankana...

Niech tam jawor w zielonych stoi płomieniach!

Niech potok przewala po głazach roztopy seledynu!

Niech krzewy głogu krwawią się na czarnej, lupkowej, prostopadlej ścianie!

Niech mże sierpniowego południa* snują się po łąkach i owsach ku niebotycznym górcom:

Ja klaskać będę w dłonie, że mocą byka, wiedzionego na arenę, obramowaną strusiem pióry, lśnistymi skrzydły krasek i polyskującymi cylindrami, zgmiotłem w sobie już wszystko, coby mi przypominało procesję świętych, rytych w czarnym marmurze na portal dla ciebie,

o mój walący się domie!

Nie dam żebrakowi jałmużny i bez skrupułów suty zjem obiad; kosztownem upiję się winem i przy akompanjamencie dzwonów, w tej właśnie chwili witających jakiś kondukt, z omyłki wyprowadzać będę przyjaciół i towarzyszy, którym się zdaje, że wdowa w grubej żalobie, wiodąca dzieci na grób męża, nigdy go nie zdradzała, że w pomiejęt, zblakłej twarzy tego młodzieńca nie znamię wenerji widać, lecz klątwę światozbawczych zmagani z nędzą i upodleniem, że znany nasz filantrop w sposób uczciwy zdobył środki na publiczne ocieranie łez, że Duch zapanuje nad chlebem, że Bóg zamieszka w człowieku...

* * *

O mój walący się domie!

XV. ŻŁODZIEJ.

W nocy, przez otwarte okno, zakradł się do mnie złodziej.

Nie znalazł moich obyczajów, bo, nie znalazłszy portmonetki na stoliku, sięgnął pod poduszkę — daremnie.

Ale mnie zbudził.

Schwyciłem go w pierwszej chwili za gardło, chciałem nawet zawołać na policję i oddać go w ręce karzącej sprawiedliwości.

Oprzytomniawszy, uczulem coś w rodzaju współczucia dla tego biedaka.

— Siadź pan — powiadam — i przysuwam mu krzesło.

Złodziej, widząc, że mu nic nie grozi, usiadł, a ja tymczasem zapaliłem światło.

Chłopak młody, przystojny, szkoda, że, zamiast być pożytkiem dla społeczeństwa, stał się jego plagą.

— Przepraszam Pana bardzo, dawno uprawiasz swoje rzemiosło?

— Ze dwa lata.

— I jak ci się wiedzie?

— Na ogół nieźle. Nie wycierałem dotychczas kątów kryminału; zwykle sztuka mi się udaje, czasem tylko — — — i tutaj spojrział na mnie z uśmiechem, któregoś na razie nie zupełnie zrozumiał.

— Chwała Bogu, że tak Panu szczęście służy — powiadam. — Ale czy nie byłoby lepiej wziąć się do jakiejś rzetelnej pracy dla siebie i dla innych. Zresztą może się Panu pośliznąć noga, boć tak długo dzban wodę nosi, aż się ucho urwie... Ambicjonować niema się znowu czego, Pan nie jesteś jedynym, który ma odwagę kraść... każdy, proszę Pana, gdyby chciał, łatwoby się na to zdobył... I ja mogłem zostać złodziejem, jednak wolałem... Więc co? obiecujesz Pan poprawę?

— Obiecuję — rzekł — widocznie skruszony. Pański przykład nauczył mnie rozumu, nie będę przedewszystkiem nigdy właził przez otwarte okna parterowe, boć gdyby u właścicieli ich było co kraść, zamykaliby je na noc. Powinienem był to wiedzieć, gdyż sam mieszkalem kiedyś na parterze, ale w stanowczej chwili nieraz traci się głowę. A teraz, jeśli Pan taki Spartanin —

— Co to ma znaczyć?

— W Sparcie nas szanowano — —

— A pan skąd to — —?

— Mój Panie: polla ta deina ouden anthroopou deinoteron pelei...

— Sofokles?!!

— Otóż jeżeli pan obchodzi się z złodziejem, jak z człowiekiem, wyświadczyć mi jeszcze jedną łaskę...

— Miło mi będzie... jaką?

— Masz pan klucz od bramy?

— Mam.

— To mi ją otwórz. Bo widzi Pan i ja dbam o dobro społeczeństwa. Wszystko jest względne...

— No! no!

— Nic Panu nie wzięłem, bo nie było co brać... Wyspecjalizowałem się w portmonetkach i zegarkach, do handlu starzyzną nie czuję w sobie żadnego powołania. A propos: masz Pan zegarek?

— Mam.

— Pokaż Pan... E! nikłowy!... A więc widzi Pan, gdybym wylazł przez okno, wpadłbym w ręce „księżycy“. Wzięliby mnie pod klucz niewinnie.

Każdy porządny obywatel ma obowiązek dbać przede wszystkim o to, aby sprawiedliwość, na której zbudowano świat, nie miała pokusy — ona i tak zbyt często się myli — i aby ludzkość nie żywiła go daremnie. Poco, nie zasłużywszy na to, miałby wyzyskiwać „podatkujących“ i jeść kaszę z cynowej miski, sprawioną, oczywiście, ich kosztem? Trzeba ich szanować, tem bardziej, że jak Pan sam raczyłeś przyznać, każdy z nich mógłby ostatecznie zostać złodziejem i — powiedzmy tak *en passant*, niejeden z nich lepiejby na tem wyszedł... *Bon jour!*

— Do widzenia, Panie, do widzenia!...

XVI. ŚPIEWAJĄCY.

W kapeluszu na bakier, z laseczką w rękę, chodzę po ogrodzie, śpiewający...

Jesień.

Hej! la! ho! Hej! la! ho!

Niebo chmurne, kasztany pożółkły, zgraja wesołych łobuzów, obkładając się kulakami, wydziera sobie resztki brunatnych owoców i rozsypuje się ze śmiechem.

Hej! la! ho! Hej! la! ho!

Na smukłych, laciastych brzozech przerzedziły się liście, buk, pod którym przystanąłem, niemal zupełnie obdarty, a z pośród zczzerwienionych krzaków młodej grabiny czuby świerków pysznią się gęstą, niebieskawą zielenią i dumny, twardy, szeroki, rozbijały jesień dotychczas jeszcze nie-
tknięty.

Na ścieżce, po której spaceruję śpiewający, wiatr nagromadził grubą warstwę zwiędłych smutków — kopnąłem je nogą, śpiewający.

Rozpoetyzowany student siadł na ławce i, pochylivszy się nad zeszytem, pisze sonet; gibkie, nito mchem oblepione pręty siwych modrzewiów kołyszą się niespokojnie nad spalonym trawnikiem; cynkowy dach jakiegoś pałacu martwym odbija połyskiem jeden z jaśniejszych obłoków, a z przeciwległej alei wyszła niespodziewanie ta, która kiedyś była pierwszą i ostatnią literą mej księgi, a potem, nim się spostrzegłem, podarła ją na strzępy...

Chciała się cofnąć, lecz ja grzecznym się uklonił i ścisnąłem jej dłoń, śpiewający.

— Panie! — krzyknął dozorca ogrodu — co pan robisz?

— Duszę się w swoim domu, tutaj świeżym oddycham powietrzem.

— Oddychaj pan sobie ile chcesz, tylko daj spokój tym kwiatom...

Prawda: robotnicy znoszą do cieplarni pękate kubły palm, oliwek i laurów, a ja włóczę się krawędziami klombów i, jak cham, który, wracając z odpustu, wyrywa sadzone przed rokiem wierzby lub kamieniami obtłukuje jabłka z cudzych sadów — bez korzyści dla siebie, gdyż parkan odgradza je od drogi, ścinam laską, śpiewający, główki ostatnich azalij i astr, śpiewający...

Hej! la! ho! Hej! la! ho!

Z łysego wzgórza zrywa się stado kruków i z wrzaskiem leci ku miastu, na gałęzistych wierzchach topoli rozsiadła się jemiola, poprzez szczyby płotu bieje kilka powalonych głazów, ponad nimi, wśród rosłej, wędnącej trawy żelazne, rdzą jedzone krzyże z zatartymi dawno napisami, a na pograniczu między parkiem a zaniedbanym cmentarzyskiem czeka znana mi dobrze dziewczyna... Już jej nie powiem — hej! la! ho! hej! la! ho!

Szkoda mi ciebie, dziecko niemal jesteś i nie wiesz, że światu wpoprzek iść nie można — —

tylko jej sploty ujmę w dłonie i całując, śpiewający, wyrwę jej z serca ostatki obawy, a jutro, na sądach, iżby mnie nikt nie obwiniał, że pobłażliwość moja dla zbrodni równa się wyrzutom sumienia, śpiewający głosować będę za wyrokiem śmierci na ową matkę wyrodną, co w stawie na „Jusgladiówce“ utopiła swe dziecko...

Hej! la! ho! Hej! la! ho!

W kapeluszu na bakier, z laseczką w rękę, chodzę po ogrodzie, śpiewający, ścinam laską, śpiewający, główki ostatnich azalij i astr, kopię nogą, śpiewający, górę smutków, które wiatr pozrywał z drzew i nagromadził na mej ścieżce...

Hej! la! ho! Hej! la! ho!

XVII. GŁÓWKI DZIECIĘCE.

Wiszą u mnie na ścianie dwie główki dziecięce o wyrazistym, smutnym spojrzeniu.

Niema godziny, abyśmy z sobą milczącej nie prowadzili rozmowy.

Przekomarzamy się o drobnostki, o winogrona, o wstążkę, o to, czy małym dziewczątkom należy obcinać włosy, aby lepiej rosły, czy też odrazu zaplatać je w warkocze, o płamę na sukience, o potrzebę wdziwania kaloszy na błoto i co lepsze, tort czy ciastko francuskie.

Główki, malowane gris à gris, nabierają wówczas kolorów, dyskutują coraz żywiej i, zniecierpliwione protestem, jakoby czekoladka i krem były zarówno „najlepsze“, twierdzą z wesołym uśmiechem w smutnych zazwyczaj oczach, że łatwo dam się przekonać, jeśli w niedzielę urządzę im „bal“ z kożankami.

Zaś w innych sprawach, gdy idzie o teatr lub koncert, albo o wycieczki w góry — koniecznie po klamrach i łańcuchach, zaczynają się gniewać i, podniósłszy palec do ust, grożą zupełnie na serjo:

— Niech tylko wyjdziemy za mąż, to nam już nikt tego nie zabroni!

Czasem jednak zapominam o moich główkach dziecięcych — zwłaszcza o zmroku —, jak wczoraj:

Deszcz jesienny uderza mi leniwie w szyby, wicher zgina niemal do ziemi ostatnią akację, otoczoną wałem cegieł na mającą się budować w roku przyszłym kamienicę, która do reszty zasłoni mi wzgórze z topolami i to ostatnie usunie drzewo...

Monotonny skrzyp pobliskiego tramwaju przenosi mnie wskutek przypadkowego skojarzenia myśli na Plac Wenecki

w Rzymie, albo ku zapadłej osterji w pobliżu Torri dei Schiavoni, gdzie karabinierzy grali w karty, opatrzone wizerunkiem Michała Anioła i Rafaela, a biedna, obdarta dziewczyna śpiewała za kilka soldów tęskne, na pastwiskach Kampanji pozbierane melodje; albo pod szarą, odwieczną piramidę, tulącą grób wielkiego poety, który dzięki kilku zasuszonym listkom bluszczu staje znowu przedemną; albo ku „Place de la Nation“ z dumnym „Triumfem Rzeczypospolitej“; albo na „Friedrichstrasse“ czy „Unter den Linden“ z błyszczącymi złowróźnie pikielhaubami...

Jak na niespodziewane hasło zaklętych organów, zaczyna się w pokoju mym roić od umarłych dawno postaci.

Chwiejący się na zmęczonych nogach upiór bierze obie me ręce, wlepia we mnie zblakły, mglisty, w łzach splukany wzrok i mówi:

— Ciężkie miałem konanie, bom chciał cię raz jeszcze zobaczyć, a losy nie pozwoliły; przychodzę dzisiaj, by cię przywitać i pożegnać —

Nie zdołał jeszcze rozplynać się w wilgotnych mżach wieczornych, a już inne widmo skrada się za moimi ramiony, głucho śmiertelną szeleści koszulą i, pozostawiwszy na podłodze kilka zbutwiałych jej strzępów, całuje mnie w usta i mówi:

— Nazwałeś mnie kiedyś kochaną, a potem odszedłeś; przybywam, by ci przypomnąć tę chwilę zdeptanej miłości...

Odarta z kory, napół przegniła wierzba, rosnąca na skraju piaszczystej wydmy w stronie dalekiej, dalekiej, przystaje pod mem oknem, puka w nie zmartwiałymi palcami i rozwartą szeroko żrenicą zajrzawszy do wnętrza mej izby, wlece się z powrotem, obłupana z kory i napół przegniła, na skraj swej wydmy piaszczystej w dalekiej, dalekiej stronie...

O bądźcie litościwsi dla mnie!

O wietrze jesienny, przestań płakać!

Skończ się, ty jednostajny, leniwy deszczu!

Nie pierwszy i nie ostatni raz skupiacie w jednej kropli, otrząśniętej z mistycznego kwiatu, całe, smutne, rozpaczliwe życie człowieka, wydychujecie ją do rozmiarów bańki mydlanej i drwicie i drwicie...

Nie potrzeba z uporczywością maniaków przypominać mi o tym zmierzchu, jaki holbeinowski taniec szaleje na mojem pustem uroczysku!

Wiem, wiem:

Władca jestem, panujący nad królestwem karłów,
a Śmierć koścista szyderczo bawi się moją słomianą koroną,
tekturowe jabłko potoczyło się już ku klepsydrze, za chwilę
i miecz drewniany wypadnie mi z ręki.

Wiem, wiem....:

Rycerz-ci jestem nad rycerze! Na badyłowych nogach wyruszyłem w bój, w zbroi i z wielkim pióropuszem na szyszaku,
a Śmierć koścista wbija mi oszczep w bok i rzechoce się z szpadki, wymierzonej w trupa jej czaszkę.

W promieniach zachodzącego słońca doorywam pola, rolnik, który wysprzedał się z zeszłorocznego ziarna i nie wie, skąd weźmie na świeży posiew,

a Śmierć koścista pogania mi konie, coraz chyżej, coraz szybciej ku miedzy mojego zagonu...

Ulicą miasta przechadzam się z umiłowaną kobietą, chępię się, żem odkrył skarby Sezama, których ani robak nie stoczy, ani ogień nie spali, ani woda nie zniesie,

a Śmierć koścista w rubasznych przedemną podskokach, bije w bęben dwoma piszczelami i popolite czyni widowisko.

Plączą się obrazy o zmroku, gdy deszcz jesienny uderza w szyby, a wicher zgina ostatnią akację; nadchodzi moment, że ich obrysy i barwy zlewają się w ogromną, szarą, bezludną

i bezdenną przestrzeń, wśród której dusza stoi oślepiała — gdy nagle,

jak na niespodziewany akord zaklętów organów, na pozbawionych wzroku, głuchych i niemych powiekach uczuвам drobne rączka i głos mnie budzi:

— A kto to?

— Ty jesteś, ty!

— A nie prawda! bo to ona!...

Główki dziecięce, malowane gris à gris, opuściły szare passe-partout, dostały żywych kolorów i śmieją się smutnymi zazwyczaj oczami.

— Wiem już — rzecze jedna — skąd Wisła wypływa i jaki Popiel panował nad jeziorem —

— A ja — dąsa się druga — znam opowieść o królowej Jadwidze i umiem już deklinować columba timida, columbae timidae, albo hortus, horti, horto...

— Wielka sztuka — odyma się tamta —, ja od panny Annety nauczyłam się francuskiej piosenki — o! — i dzwonem zadzwoni srebrzystym:

Adieu, mon bon navire.

Mes beaux jours sont passés — —

Je te quitte — —

— Cicho, ty papużko! Ja będę miała gospodarstwo, gdy urosnę, i żyto i łąkę i kawał rzeki —

— A ja założę okulary na nos i będę przełożoną pensji — —

Bądźcie, czem chcecie, tylko wcześniej uczcie się cierpieć i — gardzić i nienawidzić — —

Nie! nie! Chłońcie wiosenną radość życia, jak ja w walszych latach, serca otwórzcie na oścież, aby wstępowała w nie miłość — dla Wisły, jeziora i Popiela, dla królów w słomianych koronach, dla rycerzy i rolników, którym śmierć popędza

konie ku miedzy, nim, wysprzedawszy się z ziarna, zdołali o świeże postarać się zasiewy.

XVIII. CIEŃ.

Gdziekolwiek się zwrócę, prześladujesz mnie, wrogi, zabójczy cieniu!

Z piętnem gorączki na twarzy, uciekam przed tobą, jak przed Mołochem, który w swym piecu ognistym strawił hekatombę moich najmłodszych, najzdrowszych, najsilniejszych marzeń...

Pytam serca mojego, zali nie jestem tchórzem, a ono mi odpowiada:

Idź, jeśli nie chcesz się spalić, jak cień, rzucony w płomienie w wielkosobotni poranek, w przeddzień wesołego Alleluja...

Idę i pędzę i oglądam się poza siebie, czy nie utrudziła cię ta gonitwa za mną, czy nie wypuścisz, ty krwawy, milczący Cieniu, swojej ofiary.

Stań! pozwól odetchnąć i odpocząć...

Gdybyś był sam!

Ale towarzyszy ci niesforna zgraja żołdaków, rzucających kości o twoją suknię pośmiertną, a handlarze relikwii kruszą twój krzyż na drobne ułamki i drzazgi i, umieściwszy je pod szkłem, dają za sutą zapłatą do pocałunku tłumowi.

A inni wiodą spór, kto pierwszy podważył kamień grobowy, kto pierwszy będzie miał prawo pójść do Emaus z Zmartwychwstałym.

Chór młodzieniaszków i dziewic, przeczulonych nocami księżycowymi, łowi w siatkę motylą swe nikłe westchnienia, w kunsztowne zamyka je oprawy i z wybitej czerwonym suk-

nem estrady rzuca je przed półnagie damy i opasłe mieszcuchy, wołając:

Oto jęki i żale nieśmiertelnego Cienia!

A zgromadzeni klaszczą w spotniałe ręce i wrzeszczą: brawo!

Nie! Gardzę tobą, albowiem imię twoje jest Złuda, bezkształtny bohomaż w ramach z sosnowego drzewa, oblepionych gipsem, z cienką warstwą pozłoty po wierzchu.

Ustawili go na poręczkach i wśród bicia dzwonów, wśród dymnych kadzielnic niosą w procesji przed baldachimem, izby był uświetnieniem samowładnych praw, rzucających przyszłość do lochu.

Blichtr to i szych!...

Spoglądasz na mnie z wyrzutem? Szepczesz mi złowróźnie do ucha, że tylko niegodni synowie zwykli tak przemawiać? Że serce zamieniwszy w gąbkę, przesiąkniętą octem, na długiej trzcinie podają ustom, które, w nadludzkich zczerniałych torturach, ledwie wymówić zdolne: pragnę?!...

Może... Nie przeczę... Ale dlatego właśnie nie wpijaj się sępiemi szponami w ten kark, z dziobem mięsożernego ptaka nie zrywaj mi się do oczu i, piekłem obciążonem i trzepocąc skrzydłami, nie wykluwaj aż do ślepoty mych źrenic!

Nie umarłem jeszcze i chcę, aby wzrok mój rozkoszował się cudownymi zjawiskami świata!

Chcę, aby patrzył w słońce, aby, jak ty wchłaniasz w siebie wyziewy mogilne, upajał się wiosenną zielenią drzew, aby, gdy po uciążliwej podróży pozwolą mi wejść do sadu, mógł się nasycić rumieńcami jabłek i brzoskwiń, zanim ich sok pokrzepi głodną, zmęczoną, niecierpliwą żądzę stawy po-wściągającą duszę...

Dzięki ci! Dzięki!

Odwracasz się odemnie...

Przekląłeś niejednych!

Wiem, co to znaczy!

Przemożne, w zapowiedź klęsk brzemienne słowo twoje zawiera tajne przymierze z Bogiem i nad głową spieszących wędrowców gromadzi nawałę chmur; z daleka zbliża się głuchy pomruk grzmotu, jeszcze chwila, a ciemnię ich wnętrza poczną przecinać zygzaki błyskawic, jeszcze chwila, a piorun porazi te zwoje mózgowe, z których, jak z gniazda żmij, wypelzały poplątane powrozy gadów, ażeby z jadowitym sykiem obśliniać świętości.

Niech grzmią i huczą te straszne olbrzymy obłoków, na grzbietach dźwigające wory ołowiu; sapiąc i zadychując się niech w tem ciężkiem, grubymi hufnalami podkutem obuwiu deptać ich piersi, niech im chylikiem, znienacka, jak najemny a tchórzliwy morderca, pakują płomienne sztylety pod żebra: bezpieczni, jeśli się opancerzyli w samotność: ta ich obroni od złości i urągówisk...

Uciekam od ciebie, jak człowiek, który zgiął się nad krzewem jałowca, wyrosłym na krawędzi górskiego usypiska, a potem zwrócił się nagle ku niebu i uderzon niezwykłą promienistością Marsa lub tajemniczą przędzą Andromedy, ujrzał, niby po raz pierwszy, rozsiew gwiazd na kulistym, ciemnobłękitnawym rozłogu i, za każdym ziarnkiem złocistego maku spostrzegłszy głębię, z miliardem głębin w jedną straszłą, bóstwa pełną, zlewającą się bezdeń, szaleńczym zaśmiał się śmiechem, iż mógł choć na chwilę tak się zapomnąć i zadumie swojej kazać się pochylać nad przedmiotem, poświęconym Śmierci!...

Jak żeglarz, nie mogący już wracać do swej ciasnej izdebki, a któremu zbrzydły publiczne przetargi i odpustowe jarmarki, spieszy w zaułki portu i tam, w ciemny wtuliwszy się kąt, perlistem oszalał się winem, ażeby w niespodziewanem okamgnieniu przebudzeń o zimną posadzkę rzucić kieliszek

i pobiec nad brzeg morza i rykiem, któremu nocna wtórzy nawałnica, nędzę swą wylać przed Wielkim Pocieszycielem, tak ja uciekam przed tobą i patrzę i w szum się wsłuchuję, przygłuszający twój jęk...

Przechadzam się po żółtym, wyblakłym piasku, w którego sypkich żwirach, przemywanych jedwabnym, srebrnym, szmerzącym i wrzącym brzygiem przypywu, giną znikome ślady ludzkich stóp, gubi się znikomość wszystkich, choćby najkrwawszych, najboleśniejszych przypomnień.

Odgłos dalekich wyrzutów topi się w rozszumiałych, rozkołysanych falach, majestatycznych, jak rytmy najgłębszej melodii Ducha.

Na dreszcze sennych wód, po których słońce zachodnie ślizga się powoli w podmorskie, zorzami oblane, tajemnicze Życia i Śmierci niesyte, wiekuistości pieczęcią zamknięte, przez gigantyczne potwory Strachu i Lęku strzeżone przybytki, rzucam, w świątynnej ciszy wnętrza, dźwięki swych podziwów i hołdów, milczące, a jednak grające na bogomodlnych, dziękczynnych harfach oszołomionych źrenic.

Hyżej i lotniej od tych skośnych, migotliwych brzytw wiatru, tnących falę i znowu płazem kładących się po niej, posyłam szerokokrężne, rozwarłe oddechy uwielbień na fioletowy grzbiet ostatnich kresów tego ogromu wodnego.

Niepokalane i białe, wiem, że na białych żaglach rybolownych statków, które nagle, jak zjawiska, białą wytrysły pianą z pod widnokręgowych obrzeży, z letejskiego grobu słońca, i, kotwicę zarzuciwszy w głębię, stoją rzędem i, widma z tamtego świata, błyszczą zaklętą luną ogni wieczornych.

A jedna z tych spóźnionych łodzi przewala się ku nim i przerażona staje w tym szeregu dusz, nie mających odwagi iść w ciemnię, choćby jej brzegi płomieniste były od naj-

wspanialszych marzeń o świtach i o zaziemskich rankach
i południach — — —

Idź na dno! Idź na dno! ty niespokojny, latający statku!

Przystanąłeś, ponieważ na pokładzie swoim przywiozłeś
mi Zmorę, która mnie dławi, zabójczy, wrogi Cień!...

Śłuchaj... odeszła mnie trwoga... Pomówmy z sobą, jak
dwoje istot, ongi przyjaciół i więcej — czem dzisiaj jestem
dla ciebie, nie wiem, czem ty jesteś dla mnie, roztrząsać
nie będę...

Bladość pokryła twe lice, z rozpuszczonych włosów zdjęłaś
koleczasty wieniec, i złożyłwszy go na krzyżu, leżącym u twych
stóp, podnosisz skrwawione ręce, — jak w teatralnym obrazie.

Cizba obdartych pątników pcha się ku tobie, mniemając,
że zbliża się do Cudu, który przed wiekami obwieszczali pro-
rocy, a jeden z twych sług, jakiś nędzny panek, oparty o ramię
klechy, zagradza im drogę i wrzeszczy, że nie wszyscy godni
oglądać Tajemnicę, że natomiast wszyscy, prócz jego i rów-
nych jemu, stworzeni są nato, aby zgrzeblem czyścić ich konie
i nawóz wymiatać z ich stajen...

Mógłbym ci rzucić obelgę — — —

Milczysz?!...

Cóż to?!... Statek się ruszył i ku mojemu zdąża zamyśleniu.

Aniołowie ujęli wiosła w ręce i zanurzają je w wodę...

Plusk fal... Plusk fal...

Zbrojni skrzydlaci rycerze otoczyli mój Cień, mój drogi,
umówowany Cień...

Pod strop nieba, oblany zorzą, biją zwycięskie okrzyki.

Połyskują rozwiewne kity i pióropusze.

Proporce i ogromne sztandary trzepocą się, jak stada kon-
dorów, które w jednym z moich snów zerwały się z niebie-
skawych, śnieżnych, skalistych szczytów i nagie, puszystą

koroną owinięte szyje wyciągnąwszy w przestrzeń, dziobami
niebieskawe krają powietrze — — —

Wiesz, że kocham wszystko, co ma duszę, choćby ta du-
sza — — —

Wiesz, że wędrowałem do twych zamków, otulonych w prze-
długie mgły czasów umarłych...

Wiesz, że choć z ich piwnic dobywały się jęki pomordo-
wanych samowolą niewolników, których duchy błędą — — —

— patrz! patrz! płyną za twoim statkiem! Po szczęki
załani falą, biją dłońmi o powierzchnię!

Włosy ich mokre, lepkie od zielsk i błota!

Oczy bez źrenic — tak je pobili strach i ból!

Jeden wygraża ci harapem, którym go zaknutowano.

Inni trzęsą kajdanami.

Tam upiór jakiejś nędzarki z wyrzniętą piersią wypłuka
krew i żółć.

Tam matka tuli jedną ręką zagłodzone dziecko, a drugą
usiłuje utrzymać się nad głębią i wrzeszczy zwiędłymi, wy-
krzywionymi ustami, żeś jest — — —

Przejrzyste, zwierciadlane morze zmienia się w grząskie
bagnisko, pełne zarośli, wiklin, cykuty, rzerzuchy, a każda kępa
sitowia i trzciny wzdycha i wyje i płacze i klnie i złorzeczy...
Topi się twój statek w tem trzęsawisku rozpaczony... Niech
ginie! Niech ginie!...

Błoto zalewa pokład — — —

Sięga powyżej masztów — — —

Ratunku!!!!...

Dla mnie wzywaj ratunku?... Idź i uroczystym zwołuj
głosem — — —

Wstręt mam do proroczych draperyj; krzyk mój był
tylko krzykiem człowieka, który miał płonącą żądzę mocy...
i padł...

Chodź za mną...

Szliśmy po żółtym piasku.

Ja i mój Cień nieodstępny po zblakłym szliśmy piasku, w którego sypkich żwirach, przemywanych jedwabnym, szemrzącym i wrzącym bryzgiem przypływu, nikną znikome ślady ludzkich stóp, gubi się znikomość wszystkich, choćby najkrwawszych, najboleśniejszych przypomnień.

Mewy białem uderzają skrzydłem o dreszcze sennych wód.

Z dalekiego portu przyczolgują się ku mnie echa śpiewu marynarzy.

Kilku rybaków rozkłada sieci; żony ich i córki odnoszą połów do miasta, a my idziemy...

W jednym okamgnieniu, szybkim, jak w rękę bożych przestrzeń pomiędzy życiem a śmiercią, przebyliśmy drogę, na której umilkły przekleństwa i złorzeczenia...

Widzieliśmy bezludne, śniegiem pokryte karczowiska, wilgotne podziemia więzienne, mrokami zalane krużganki kopalń, a w nich do tacek przykute ręce tłumów w kitalach przestępców, a z spojrzeniem bohaterów...

Słyszeliśmy pocałunki matek, wysyłających dzieci na męczeństwo i skon...

Słyszeliśmy gromkie hasła bojowe, dźwigające tych, co byli w poniżeniu; wbrew pankom i klechom wiodące zastęp obdartych i obłożonych znojem życia przed ołtarz Cudu.

Słyszeliśmy pieśń, o jakiej nie marzyły stulecia...

Pieśń, co mówiła:

„Jeżeli nie czujesz mocy, iżby zrzucić z siebie tę palącą koszulę Dejaniry, która bojownikom o prawdę bywa celem ich wzgardy, własnymi rękoma kop dalej mogiłę i połóż się w niej na zawsze.

„Ale w wyrokach twoich, silniejszych od ramienia despotów i od twej ziemskiej słabości, napisane jest, iż pięścią żelazną

masz się dobijać do wrót niebieskich, rozpocząć walkę choćby z Bogiem, który ci każe wypróbować twą potęgę, aby mógł pokazać niedowiarkom, że to, co wyszło z Niego, ma znamiona nieśmiertelnej, nieskażonej młodości.

„Wbrew obliczeniom rozsądku, który jest przekupniem bereł i płaszczów gronostajowych, wywiedziesz statki swoje z zablokowanego portu w chwili niespodziewanej i pożegłujesz na wielką rewję narodów.

„Dla głodnych staniesz się rozdawcą chleba, dla wzgardzonych Szafarzem czci; jarzmo, poniżające duszę ludzką, nazwiesz po imieniu, choćby chwalcami tego jarzma byli własni twoi synowie; ciemność i mrok, zalegające świat, przecinać będziesz nieustraszoną mieczem zwycięskich wytyczeń; przesąd i rozmyślnie fałszerstwo prawdy, splotami węzowemi owijające glob, podepczesz stopą, która w uciążliwej, męczeńskiej drodze do Światła nabrała twardości glazu —

„I czcić cię będą i kochać, albowiem miano twoje Pocieszyciel i Zbawca.

„Oto mój ból, moja radość, mój triumf!”

O wielki, nieodstępny, pożerający nas Cieniu!

XIX. PANI ŚMIERĆ.

Na moich drzwiach widnieje od dawna bilet z dopiskiem: nie przyjmuję.

Odwiedza mnie bowiem przyjaciółka, która się nazywa Śmierć, pani Śmierć.

Zjawia się przeważnie w godzinach wieczornych — otwieram jej za umówionym znakiem. Plotkarze, raczywszy podpatrzyć jej wizyty, bez skutku dobijają się do mnie i, odchodząc zgorszeni, że śmiem ich lekceważyć, szepcą sobie na ucho:

— Taka brzydka, a on — — —!!! Lecz trudno: istnieją natury zwyrodniałe, przeżyte, gładszka im nie wystarczy, gonią po ulicach za potworami.

Kilku życzliwym znajomym, skłonny do czynienia mi przytyków, oczywiście jedynie w tym celu, abym się udał do psychiatry i wczas zapobiegł nieszczęściu — każdy, mówią, obywatelskie ma względem społeczeństwa obowiązki i dlatego niezmacony winien zachować umysł —, próbowałem wytłumaczyć, iż obcowanie z kobietą niekoniecznie pociąga za sobą ostateczność i że w zwierciadle, w którym człowiek zawiesza krawat, nie zawsze widzi goryla.

— Nie chcę przekonywać świni! — wrzasnąłem kiedyś niecierpliwie, zrozumiałszy ich aluzje. Straciłście wiarę w wasze żony, a może i córki, więc sądzicie, że każda tyle tylko, nie więcej jest warta. Zresztą, gdybyście nawet tym razem nie rozminęli się z prawdą — rzadko wam się to zdarza —, to w jednym grubej dopuszczacie się pomyłki. Ślepi jesteście czy co? Wszakże to najpiękniejsza istota, jaką kiedykolwiek Pan Bóg stworzył. Sakramentalne wasze damy, za lichy czy dobry obrok płaskie sprawiające wam uciechy, nie warte rozwiązać rzemyków u jej nóg.

Tyle ukochanym moim współbraciom, albo raczej współpowiernikom z tej zapadłej prowincji, noszącej napuszone, pyszałkowate miano ziemskiego globu.

Dziś, przed kilkoma godzinami była znowu u mnie.

Tym razem przyszła w porze niezwykłej, bo około południa.

Domyślałem się, że przywiódł ją wypadek, który zapewne wywołał potrzebę wywnętrzeń.

Przywitaliśmy się bez słów; podałem krzesło i pytającym spojrzeniem objąłem jej postać. Ciekawość ustąpiła jednak miejsca podziwowi: Prześliczna!

Wypukłe, zielone oczy z źrenicą kształtu wydłużonej elipsy,

spokojne i nieco mgławce, były jakby odbiciem przedmiotu dla nas niezrozumiałego, który w jedną z szufladek mózgu składamy z etykieta „Wieczność“, dodając: niewiadomo, co z tym fantem zrobić, niech sobie leży...

Może też po raz pierwszy spostrzegłem, że blade jej czoło, osłonięte gładko przyczesanymi włosami à la decadence, — taki podobno ten rodzaj koafjury otrzymał chrzest od nielubiących metafizyki fryzjerów, — przecina prostopadła zmarszczka, dzięki czemu delikatny, orli nos o cienkich, nieznacznie wydętych płatkach wystąpił trochę naprzód.

— Mam wrazenie — szepnąłem —, że Pani wracasz z ogrodu: napilaś się woni kwiatów, ale, zamiast zadowolenia, czuję, obleciał cię smutek...

— Smutek? Jestem — odrzeczę z wymuszonym uśmiechem — zawodową filantropką; odwiedziłam właśnie biednych krawców i, proszę sobie wyobrazić, spotkałam się z straszną rozpaczą: umarło im dziecko...

— I cóż z tego?

— Jakto cóż z tego?! Ojciec stoi nad łóżkiem z zalamanymi rękoma, z pochyloną głową —

— W skarpetkach, w spodniach, opadających na chudych biodrach, rzucił właśnie igłę i zapomniał na tę wielką uroczystość wdziać butów, przyciągnąć paska —

— Nie drwij Pan... a matka, wynędziała kobiecina —

— Jak lodyga końskiego szczawiu w listopadzie —

Spojrzała na mnie z wyrzutem.

— Mów Pani dalej, jeśli ci sprawia rozkosz grzebanie w obrazach, zalatujących niewymiecioną izdebką.

— A matka płacze i narzeka: Juścić mnie twoje rączeta za szyć obejmować nie będą! Juścić ja drobnych nie zaplotę ci warkoczyków, a ino rozczeszę, iżbyś jak aniołek stanęła przed Bogiem! Nie dam ci rano kromki chleba ani mleka, nie spra-

wię ci barchanowej sukienki, a właśnie tatuś zarobił kilka groszy! Myślałam, że ci ustroję i zaprowadzę do kościoła, po raz pierwszy, po raz pierwszy! Teraz ci zanoszą do chrusty, na pokropienie! Juścić ty mi w szyby chuchać nie będziesz i paluszkami robić krzyżyków w tej parze — postawię ci drewniany krzyżyk na mogiłce — — —

— Wie Pani, drużymy się dawno, a nigdy nie przypuszczał, żeś taka sentymentalna — —

— A Pan taki brutal — — — Zastanawialiśmy się zwykle nad abstrakcjami, ale dziś — —

— I dzisiaj nie mam ochoty zakłócać w sobie uwielbienia dla Pani spokoju, dla tej dumnej, królewskiej bezwzględności, z jaką traktujesz życie. Znam się na tem. Dola jest twarda i kolczasta, jak naręcze suchych cierni, rzuconych przez niesfornych chlęstków pod gołe stopy ślepeca, wędrującego, nie wiadomo, dokąd.

Ale z tego jeszcze nie wynika, aby, jak Panią w tej chwili, rozmiękczała mnie płaczliwość pierwszych lepszych drapichrustów — radzi nazywać się ludźmi, a są przeżutą trawą, którą — przepraszam za wyrażenie — wypływają na tem ograniczonym pastwisku doczesności... Ciekaw też jestem, czy znalazłabyś w sobie choć dziesiątą albo i setną część tego pojęku, gdybym ja tak położył się na tej kanapie i więcej się już nie podniósł! — —

— Może i nie...

— Kto tu jest brutal?!... Dlaczego?

— Bo widzi Pan, dla ciebie byłby i czas...

Przeraziłem się, alem się opanował, nim wskazówka na budziku przebiegła przestrzeń ćwierć sekundy.

— Słusznie... Mimo to jednak, jeśli się Pani tak hojnie rozgadała ze mną, zechciej mi wytłumaczyć, dlaczego jesteś niesprawiedliwą — — dlaczego żal ci dziecka, a — — —

— Niesprawiedliwą?! Nie! Mam świadomość, że dziecko umrzeć musi i w tem jest moja sprawiedliwość... Zaś co do do ciebie, to chyba wiesz sam dobrze —

— Wiem... wiem... Rzućmy to...

— Przytem takeś się oswoił w obcowaniu ze mną, tyle razy roztrząsaliśmy tę kwestję — Zresztą możemy naprawdę przerwać... Piękny mamy dzień, przejdźmy się, u Pana jest trochę duszno: widać, że mało przewietrasz pokój.

— I owszem, służę Pani...

Powędrowaliśmy w pole...

Rżyska, osnute babiem latem, słońce październikowe niemal dopieka, płaty traw jeszcze świeże, a przecież czuć w jasnym, kryształowym powietrzu początek końca. Na drzewach tu i ówdzie liść zwiedły, pożółkły...

Towarzyszka, przystanawszy, wyciągnęła ręce nad murawami, nad dalekim sadem czy parkiem, jak gdyby je chciała błogosławić. Wypukłe, zielone oczy jeszcze gęstszą oprzędziła się mgłą, z piersi wydobyło się westchnienie i zgasło, a właściwie utonęło w okęgach.

Przejął mnie niby dreszcz...

Zauważyła to.

— Daruje Pani, ale dziwne w tej chwili wywierasz na mnie wrażenie. Nie umiem zdać sobie sprawy.

— Po prostu Pan się boisz: jesień działa na ciebie przynębiająco... Nie lękaj się, jesteś dość jeszcze młody i krzepki.

— Wiem, że to w ustach Pani komplement, ale ja cię zaraz przekonam o najoczywistszej prawdzie.

I, jak szalony, zacząłem gonić po ugorach, przeskakiwać miedze i rowy i, gdy nogi grzęzły w wyciągniętych codopiero skibach, wyrывałem je, niby pniaki z oblepionymi gliną kożeniami. Nieleddiem chciał się wdrapać na potężny stóg zboża, ale ściana była zbyt stroma i ręce ślizgały się po niej.

Próba ta wyglądała chyba arcyśmiesznie, bo Pani Śmierć zdjęta, widać, litością, poczęła mnie strofować:

— Skończ-że Pan to widowisko — Wróć się — do mnie!... do mnie!

Nie zbiła mnie jednak z tropu. W tych samych, cyrkowych podskokach bieglem ku niej z powrotem, zdążywszy po drodze zbierać bukiet nieprzekwitłych jeszcze do reszty ziół polnych i pęk czarnych, soczystych ożyn.

Z ukłonem zarumienionego studenta podaję jej wiązanek i mówię:

— To dla Ciebie! Teraz właśnie nadeszła pora tłumionego oddawna wyznania: kocham Cię! Widziałś, krzepki jestem i zdrow i dość jeszcze młody! Nie czekajmy domu — — tu! Nikt nas nie zobaczy, a gdyby nawet zobaczył, niech plotkarze mają w swem życiu godzinę triumfu!

Rzuciłem się na nią, ale ona, wiotka i powiewna, odrzuciła mnie z mocą drwała, nim zdołałem ogarnąć wzrokiem podeptane przez nią kwiaty, stanął przedemną ohydny kościotrup.

Optyczne, widać, złudzenie, gdyż w tym samym momencie, nim jeszcze ochłonąłem, szła przy mym boku moja Pani o wypukłych zielonych oczach z wydłużoną w kształt elipsy żrenicą...

Usiłowałem się tłumaczyć.

— Pani to wina — powiadam —, żem się zapomniał... Opowieść o dziecku tych krawców i twój smutek wyprowadziły mnie z równowagi, napędziwszy mi coś w rodzaju strachu, któregoś na schadzki z Tobą dotychczas nie zaznał.

Może i z tej przyczyny, że wbrew Twym przypuszczeniom czas mój jeszcze — —

— Masz na plecach trochę piasku, czekaj, strzepnę go — —

— Dziękuję... Wpadłem do świeżo wykopanego dołu, tam,

obok tej cegielni... Spostrzegłem na pierwszy rzut oka: mniej więcej dwa metry długi, a jaki metr szeroki — chciałem się przekonać, czy też miara — —

— Daj Pan spokój... Wracajmy...

Skierowaliśmy się ku domowi, rozmawiając, że tak się wyrażę, o rzeczach abstrakcyjnych, o ciszy na dalekich wysepach, ocienionych cyprysami, oblaných Oceanem, o zorzach zachodnich, przygasających złością smugą na wodach tyreńskiego morza — niezapomniany widok, który nas kiedyś zachwycał ze szczytu Monte Cavo, o absolutnem trwaniu Ducha, o niepojętej treści, zawartej w ludzkim wyrazie: Wieczność.

Przebiliśmy się przez gęsty las świerkowy, po kładce i po kamieniach, obrosłych mokrym, szmaragdowym mchem, przedostaliśmy się na drugi brzeg potoku, aby spocząć pod białym, napół rozwalonym murem.

— Widzi Pani, co za piękny cmentarzyk!... Może wejdzimy.

— Jeśli Pan sobie życzy, nie mam nic przeciw temu. Pokazuję jej groby, zapadłe wiejskie mogiły.

— Tu — powiadam — leży mój dobry znajomy, Wł. G., tu pocziwy stary proboszcz, z którym grywaliśmy czasem w karty, tutaj panna M. Dzieckiem niemal była, gdy ją tu przyniesiono. Pamiętam: trumna niebieska, owinięta białym welonem, na nim wianek mirtowy, jak przystało na oblubienicę Pana Jezusa; rówieśne jej, przepasane szarfami, niosą chorągwie i feretrony, ludzie śpiewają: Kto się w opiekę...

Wie Pani, jednego tylko nie pojmuję: dzisiejszy zarząd parafji wypasa tutaj swe bydło. Posyłano skargi, ale daremnie... Przecież i z tem można się pogodzić, należy to niejako do idylli — dodają wesoło.

Na twarzy mej przyjaciółki malowało się zadowolenie.

— Widzę, że znówu Pan jesteś sobą... Ale na mnie czas; trzeba się rozjechać.

Pożegnaliśmy się serdecznie, jakby nie zaszło nic pomiędzy nami.

— Na odchodnym jedno słówko...

— Mów Pan.

— Jeżeli raczysz jeszcze mnie odwiedzić, to proszę, bez smutku, ażebym nie zakłócał w sobie uwielbienia dla Pani spokoju, dla tej dumnej, królewskiej bezwzględności, z jaką traktujesz życie...

XX. AKACJA.

Święto cię prędzej, niżlim się tego spodziewałem, ty moja biedna, ostatnia akacja!

Dziś rano jeszcze, stanąwszy w oknie, patrzałem na twą niezwiędłą dotychczas koronę, oblaną słońcem, które, po dniach chmurnych i słotnych, jaśnieje znów pełnym, prawie upalnym blaskiem.

Zapomniałem na chwilę, że jesień pospieszenie zbliża się do kresu jedwabnych, szarych pajęczyn, że „święto umarłych“ tak niedaleko przedemną.

A oto w południe widzę, jak twe warkocze tarzają się w pyłe cegieł i dymiącem wapnie, jak chłopak wycina sobie kozikiem gibką tą gałąź i smaga nią bosc nogi towarzysza, zaś ten, podskakując wśród placu, niema odwagi uciec, a za słaby, by się bronić; jak jeden z mularzy, pożyczwszy siekiery od sąsiedniego rębacza, łupie twój pień na kawały i rzuca je do fartucha kobiety, która przyniosła mu obiad.

Czerwony mur rośnie w mych oczach; z rozkopanej ziemi,

tu, gdzie niedawno zielenił się szmat koniczyny z wystającym pierzem bylicy i krzewami łopianu, wystrzeliła gotowa niemal ściana z szeregiem bezszybnych okien, patrzących ciekawie na niewyschnięte błoto.

Rusztowania gną się pod ciężką stopą spracowanych rabów, młode dziewczęta, bez pieśni, bez uśmiechu na ustach, dźwigają wielkie kubły gliny, pogania je dozorca, nie szczędząc klątw i złorzeczeń.

Widzę: gdzie ongi akacja napelniała wonią powietrze, otwiera się brama dla Wenus ulicznej, chyłkiem prowadzonej przez wstydliwego kawalera.

Zaperzona kucharka sieka mięso przy akompaniamencie walców straussowskich, które „sama pani“ wygrywa na wy pożyczonym pianinie.

Na pierwszym piętrze, w pokoju, stojącym w tandetne meble i bawelniane portjery, piękna córka pana radcy marzy o pójściu za mąż za hrabiego.

W suterrenach podпиты betoniarz bije żonę, łajacą go, iż dzieciom nie przyniósł chleba.

Na podwórzu pacholek miejski klóci się z stróżową o kupę śmieci i o zbyt obfity zapach kanałów.

Do izdebki na poddaszu wprowadza się uczony czy poeta: „drażki“, z chudem, żydowskim szkapkiem u dyszla, stoją przed kamienicą; dozorca, wysilając się na powagę, aby nie zadrwić z „bogatego lokatora“, wlecze się bocznymi schodkami z siennikiem na plecach i odartem z lakieru krzeselkiem w rękę, zato idący za nim wyrostek, ze stołem na głowie, podśpiewuje:

Wielki jestem pan,
W całym świecie znan:
Kawał portek, pół surduta
Wiecheć wylazi mi z buta. —

Wynędzniały marzyciel z tłumokiem książek pod pachą, z butelczyną atramentu i piórem zamyka tę rozkoszną procesję.

Na ustach jego błogi uśmiech; ziemia drży w posadach, świat płonie pożogą, z dalekich krain przychodzą wieści o krwawych narodzinach sprawiedliwości, co nie pozwoli łamać się duszom w ciężkiej, bezpłodnej walce: „umrę, myśli z spokojem, albowiem oczy moje, przywykłe do ciemnicy, zobaczyły zorzę, jaśniejszą od siedmiu świeczników, które aniołowie pańscy trzymają nad otwartą księgą ludzkich przeznaczeń“.

Ścięto cię prędzej, niżlim się spodziewał, ty moja biedna, ostatnia akajo! Ale nie będę czuł żalu po stracie twej, po woni, którą w wiosenne noce księżycowe napępniałaś powietrze, po białym kwiecie twoim, który, czarodziejskim lśnić aksamitem w żerach słonecznych, kazał mi choć na chwilę zapominać o turkocie grubo kowanych wozów, o monotonnem wywoływaniu handlarzy starzyny, o ślepym żebraku z ociekającymi krwią oczyma, któremu przechodnie rzucają grosz do czapki; o załotach żołnierzy przy studni; o krawcu, któremu ukochane zmarło dziecko; o złotych kołnierzach uporczywych kandydatów na fotele ministerjalne; o matronach, które, po całodziennych zachwytach nad tęgimi mięśniami oficerów i koniarzy, oddają się dzisiaj mistycznym rozmyśleniom w uroczystych mrokach katedry; o służącej, co udusiła noworodka; o surowym wyroku, wydanym na jednego z nędzarzy, który podczas rozruchów wybił szybę w sklepie z pieczywem i ukradł bochenek chleba —

Nie będę czuł żalu po stracie twojej, ostanio moja akajo, jeśli spełnią się w bezsennych nocach snute marzenia owego „bogacza“, zamieszkałego na strychu, w miejscu, gdzieś ty do niedawna bujnym, zielonym pyszniła się wieńcem:

Sam Bóg dał hasło, albowiem i Jemu
Już się sprzykrzyło, że Zło tak beczelnie
Urąga złotym blaskom diademu
Sprawiedliwości; sam Bóg chwycił kielnię
I z ludem swoim wielki zamek stawia,
Twierdzę przeciwko ohydzie bezprawia

XXI. LIST.

Pani!

Gdybym w uroczystych chwilach „podniesienia ducha“ ubierał się w jedwabny, wzorzysty chałat buddyjskiego kapłana, mógłbym ci powiedzieć z świadomością jak najszczerzej prawdy, że Cię przeczuł, że postać Twoją widywał w snach i marzeniach, które i takiego jak ja, pospolitowca nawiedzać raczą.

Nie wątpię, że w sercu Twem, tak czułem na głosy z zaświatów, znalazłbym należyty oddźwięk i że nie miałabyś powodu mówić mi o koniecznej potrzebie wysubtelizowania duszy, abym, słuchając rzeczy, dalekich od sznurówki i fartuszka, rzeczy „naddoczesnych“, nie zachowywał się jak kowal, sapiący przy kuciu rozżarzonej szyny, lub jak tragarz, któremu pod ciężarem zarzucanych na plecy worów pękają rękawy.

Uwierzyłaś wówczas, że i ja sroce z pod ogona nie wypadłem — w waszem społeczeństwie i przed tym zarzutem bronić się trzeba —, że tak samo jak Ty i Tobie podobni, mam prawo doszukiwać się zaczątków mego bytu „w niepojętych mgławicach wieczności“, że chodził na czworakach, że, chociaż nie lubię, jak pies wyć, do księżycy, w ciepłe, lipcowe noce nawłóczyłem się dosyć po torfowiskach, że godzinami z wędką w rękę siadywał nad rzeką i, zamiast łowić kielbie i plotki, z głupkowatym zdumieniem przyglądał

się, jak płynne złoto słońca stapia się z pomarszczonym błękitem wody.

Miałem też obyczaj przysłuchiwać się krzykom ptactwa błotnego, drapać się na chojary po zielonawe jajka wronie, leżeć po pas w grząskie bagna i cudzy rwać tatarak na majenie rodzicielskiego okapu, razem z innymi urwipolciami wydzieierać nawpół zgnile snopki z dachów sąsiedzkich i na „przyśniacach“, na krzyżowych drogach zapalać sobótki, podkurzać wonne rzepiki, skakać przez ogień, pyzate dziewczki ciągnąć za spódnice, gonić świętojańskie robaczki i, wylegując się na miękkich „sitówcach“, z otwartą gębą wchłaniać opowieści ślepej baby-staruchy o rycerzach, śpiących pod niedaleką „Świńską górą“, wśród pustych, wrzosami porośniętych pól, i o tem, jak „pan Kościuszko“ strzelał z pistoletu do srebrnego szelązka...

Ogromną sprawiały mi też przyjemność wielkanocne dzwony i trzepot czerwonych chorągwi podczas wczesnej procesji rezurekcyjnej, krwawniki na miedzach, łopiany i podbiały pod wrotami stodół, soczyste wiśnie w sadzie chrzestnego ojca, który złodziejskie łakomstwo moje smagłym mitygował rzemieniem, suszone śliwki na wilgę, ziemniaki pieczone w popiele z pozbieranych na pastwisku suchych odpadków bydlęcych.

Z mułu lepiłem biskupów, z kulkami zamiast nosów, w wielkich, pękatych infulach, z pastorałem w ręku, kładłem ich rzędem na trawie i nie mogłem pohamować — nie pamiętam, żalu czy wściekłości, gdy zbyt drapieżny pazur słońca te arcydzieła moje na niekształtne rozdrapywał grudki.

W skwarne południa późnawe, zostając na „przezobiad“ wśród morza ściernisk, nie mogłem wyjść z podziwu, jak w głębokich otchłaniach przejrzystej, bladej-niebieskiej ciszy drgały kłęby rozżarzonego powietrza; przynębiony niemożnością

rozwiązania zagadki tego prostego zjawiska — Pani oczywiście wiedziałaś za młodu już wszystko —, kładłem się jak długi plecami do nieba i, wyciągnąwszy łapę, bawiłem się w ciuciubabkę z szarańczami; a jeśli mi się udało jedną z nich przychwycić, to choć nieraz ostre skłuło mnie rżysko, nie mściłem się na nich, ani skrzydeł, ani cienkich, długich nóg wesółym stworzeniom tym nie obrywałem.

Nigdy też nie nadziewał bąków na słomkę, czasem tylko uśmierciłem zbyt kąśliwą muszycę na brzuchu konia lub na łopatce krowy.

Raz też, zburzywszy gniazdo os, wypilem — niestety! bez wyrzutów sumienia — dorobek ich pracy, nagromadzony w szarych, woskowych kieliszkach, ukrytych pod wilgotną kępą darniny; doszedłszy zaś miary wyrostka, niezdolnego jeszcze do służby wojskowej, ale który przestał się modlić w otumanieniu mistycznym do duchów prababek, uwiodłem jedną czy dwie dziewczyny, nawiasem mówiąc, im na pociechę, a sobie na pożytek.

W południe nęciły mnie cieniste bruzdy czerwcowego życia, wieczorem jedwabna, pachnąca podściel lucerny.

Widzisz, szczerzy jestem i z „grzechów młodości“ tajemnicy nie czynię.

Ażeby jednak Twe serce, tak wrażliwe na krzywdy, wyrażane tej biednej, niewinnej płci niewieściej, którą lypiące wężek poetyckie mopsy oszczeknęły za najprawowitsze i najdoskonalsze zwierciadło „Praduszy“, nie pękło z nadmiaru oburzenia, śmiem wyznać, że sromotnie wywiedziono mnie w pole.

Jedną z mych ofiar, czarodziejską wiochnę o ślicznych niebieskich oczach i gęstych blond włosach, wypłaszano już kilkakrotnie przedtem z kartofliska, gdzie słodkie dawała sobie rendez-vous z młodym pastuchem gminnym, a druga,

przybędą z nieznanych mi bliżej okolic, siedziała pono w areście za bezwstydne, prawa boskie i ludzkie obrażające podrzucenie dziecka pod progi jakiegoś panicza; wypadek tem karygodniejszy, ponieważ zbiegl się z dniem jego ślubu.

O sprawach tych doszła mnie wieść, niestety! za późno: mając już wówczas wstręt do owoców napoczętych, byłbym był, świadom nagiej prawdy, chodził ze dwa lata dłużej z sztandarem niewinności w niepewnej prawicy, chyba, że szczęśliwsza jaka sposobność rzuciłaby mi w objęcia nie złudę, lecz rzeczywistość.

Przyzna Pani, że na zapłociach trudno wyhodować kwiatki o woni lotniejszej, mimo to jednak zdobędę się na bohaterstwo, tak nie licujące z dzisiejszym stanem mej wychudłej, zgrzybiałej duszy, i zawolałem:

— I ja byłem w Arkadji! I ja miałem chwile przedziwnych, niebosięgłych wzlotów.

Pewnej niedzieli idąc na odpust, na Wniebowzięcie, obtukłem po drodze sporo jarzębin i nanizawszy kraśne jagody na szpagat, którym obwiązano mi pęk ziół, przeznaczonych na święcenie — ziołami temi okadza się wymiona krów, aby więcej dawały mleka —, zawiesiłem ten zaimprovizowany sznur koralu na szyi Jagusi, o której dziś jeszcze nie mogę myśleć nie tyle bez rozrzewnienia, ile raczej bez ślinki na ustach.

Bardzo ją to uradowało, ale, dławiąc się gruszką — wie Pani, małgorzatką —, wykrztusiła, że zawszeć większą mają wartość korałe prawdziwe. Naturalnie.

Nie koniec na tem.

Kiedyś, lat temu będzie już tyle, że gdybym miał był wówczas syna, musiałbym mu już dzisiaj napomknąć co nieco o potrzebie zachowywania niezbędnych ostrożności — otóż kiedyś, walęsając się w cieniu sentymentalnych topoli nad

wilgotnemi brzegami jeziora, uzbierałem niezabudek (!!!) i zaniósłem je panience ze dworu, gdzieś braci jej, szlacheckie, tęgie, ale zakute lby forsował nieco ponad ich siły składnią lacińską.

Z początku była jakby zawstydzona, ale po pewnem wahanu, spojrzawszy mi bystro w oczy i, w dziwnie ciepły sposób dotknawszy się mej dłoni, kwiaty przyjęła, mówiąc:

— Dziękuję. A gdzie on to znalazł?

— Nad wodą.

— Nad bystrą?

— Nie, nad stojącą, nad jeziorem.

— W noc księżycową?

— Nie. W południe.

— A co on woli? Księżyc czy słońce?

— Jedno i drugie świeci — jedno w nocy, a drugie w dzień. Są też i gwiazdy na niebie.

— Doprawdy?

— Tak jest.

— Dziękuję.

Niewymownie byłem szczęśliwy.

Wydarzył mi się też przypadek, który bez wątpienia będzie w oczach Pani dowodem, że mam w sobie pierwiastki — idealne.

Zauważywszy na ganku wietrzącą się spódnickę mej Ubóstwianej, uczulem nagły płomień w twarzy, podniosłem się na palcach, z zapartym oddechem rozejrzałem się naokoło — nie widać było nikogo — i, przycisnąwszy się jak kot, zwabiony zapachem myszy, która w śpiżarni najadła się słoniny, przycisnąłem brzeżek sukni dziewiczej do ust i gorący, szalenie gorący złożyłem pocałunek.

Ale człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi — choć ja — dzięki Ci, Panie! — strzelcem tym nie byłem: po jakimś

czasie pannę wysłano za granicę, a równocześnie na snopku słomy rozciągnięto przystojnego ogrodniczka, staropolskim obyczajem wrzepiono mu dwadzieścia pięć przekładańców i mniej dolegliwego kazano mu szukać zajęcia.

Innych widok tragedji podobnej byłby może i złamał, mnie to jednak skrzydel nie zwichnęło.

Owszem: „z pod pióra mego wyszedł“ sonet transcendentalny, dowodzący, że nie utracilem należytej czci dla świętości zawodu niewieściego.

Pamiętasz go Pani? Jeśli się nie mylę, adresowany był do Ciebie. Zaczynał się od słów:

„Miłość siedlisko ma w duszy, nie w ciele“

A dalej, że nie idzie mi o wdzięki ziemskie, gdyż te są przemijające, poświęcone śmierci, tem bardziej, że, jak uczy doświadczenie, istoty tak zwane piękne przeróżnym ulegają pokusom, że były i są kobiety, okazalsze od mej „lubej“, że jednak przymioty jej wewnętrzne jako wieczysta, nieśmiertelna cząstka nieśmiertelnego „wszechbytu“, jej czułość i dobroć i t. p., okupują wszelkie ewentualne braki w jej powłoce doczesnej. Dlatego — takem zakończył:

„Ty, w której pycha ciała się nie puszy,
Racz mnie umieścić w swojej pięknej duszy“.

Byłaś cokolwiek oburzona, zlekceważyłaś mój pean, nie obnosiłaś go po przyjaciółkach — dziś to zupełnie rozumiem, dziś, kiedy w kobiecie nauczyłem się cenić świeżą bieliznę i niezbyt płaskie biodra.

Nie powiem, ile od tego czasu upłynęło dni.

Wrażliwa jesteś na wiek i wzmianka o nim gotowa Cię wyprowadzić z równowagi.

Pociechę masz jednak w tem, że byłem o kilka lat starszy od Ciebie.

Rzecz to wreszcie obojętna, bo, jak słusznie dziś twierdzisz, nie wiek, lecz serce i dusza wystawiają świadectwo młodości, a serce Twe dotąd jest „wiośniane“.

Niestety! nie mogę tego powiedzieć o swoim — trochę nadszarpnęły je burze, które, jak nad każdym, szalały i nademną.

Jedno tylko zdołałem w tej nawalnicy ocalić — mój wrodzony idealizm.

Co? Wątpisz Pani o tem?

Zaraz Ci dowiodę.

Pewnego dnia wręczono mi list następującej treści:

„Daruj, że piszę do ciebie tak bezceremonjalnie, ale gdy cię ujrzała na ulicy, tak mnie coś jakby dźgnęło, że tylko ty jeden mógłbyś zgotować szczęście kobiecie, która, przykuta łańcuchem ślubów dozgonnych do niekochanej istoty, marzy w niespokojnych snach o kilku słodkich momentach ulgi.

Życie moje — jak wogóle każdej kobiety — prawdziwą jest kazińią; to też dzisiaj, kiedy naokoło piorunnym rozbrzmiewają głosem hasła niekrępowanej niczem swobody indywidualnej, krzyżącem byłoby bezprawiem i nierozsądkiem cierpieć dalej za winy niepopelnione.

Słaba jest nasza płeć i wychowana w wiekowych ciemnościach, niewątpliwie; ma jednak jasnowidzenia, w których odróżnić umie A od B i z niespodziewaną mocą i rozkoszą przekreślić jedną literę dla drugiej.

Gdy mąż mój niemiłosiernie chrapie obok, szlachetny, smukły rycerz Bellidor staje pod oknami i, uderzając w struny mandoliny, śpiewa mi pieśń, od której powieki stają się fiołkowe i przejrzyste, a dusza — ach! ta dusza! — gdybym ja to mogła wyrazić, czem jest moja dusza!

Ale, jeśli chcesz, przekłuję palec serdeczny i kropłą mej krwi napiszę ci: Kocham!

Dzisiaj dopiero spostrzegłam, że nawiedzająca mnie w marzeniach wdzięczna postać trubadura twoje ma rysy, twoje płomienne, głębokie spojrzenie, twoje faliste, w ogniach sierpniowego zachodu skąpane kędziory!...

Jestem jakoby furtjanka, stojąca u bramy przybytku, w którym nieskazitelna panuje cnota. Nie wpuszczę cię do celi mej, gdyż argusowe oko małżonka parzy mię pokrzywą podejrzeń, ale — dowiedziałam się o twoim adresie w policji — przyjdę do ciebie jutro z rana o dziewiątej. Obyś mnie czekał z tą niecierpliwością, która dzisiaj w nocy nie pozwoli zamknąć oka Twojej — na wieki

Mężatce“.

„Pani!“ — odpisałem — „Na przydługi nieco list mam zaszczyt odpowiedzieć:

Jestem konserwatystą i nie zachwycam się niekrępowaną niczem swobodą kobiet.

Przyznaję, że chrapanie męża bywa nieprzyjemne, jest przecież na to lekarstwo: uważaj Pani, ażeby zawsze na prawym leżał boku. A iżbyś sama sen miewała spokojny, zjadaj Pani po herbacie dwa lub trzy jabłka — środek to nieomylny, przez wszystkie wypróbowany powagi.

Krwi Pani szkoda, tem bardziej, że przyjrzałaś mi się nie zbyt dokładnie: nie posiadam w sobie nic z Bellidora; na imię mi Franciszek, jestem otyły, oczy mam niewielkie i nieco przyblakłe — przyjaciele twierdzą, że od wina, które mi kiedyś smakowało —, łysieję i zapewne niedługo włos mój, nie ognisty, lecz ciemny, zacznie siwieć. Mam też żonę, której zdradzać nie myślę, zwłaszcza, że po ciężkich bólach obdarowała mnie pięciorgiem dzieci —; zdradziwszy ją, nie mógłbym

jej z czystem przepędzić sumieniem, gdyby mi się kiedy sprzeniewierzyła“.

Kobiety, frasośliwe, iż świat zmusza je do kłamstwa, pragną za wszelką cenę nie tyle mieć towarzyszków występku, ile raczej zemścić się na prawdomownej z zasady płci męskiej i uczyć nas przerozmaitych wykrętów.

Sklamałem więc i ja — skłamałem z wierności dla Ciebie — boć, jak Pani wiadomo, nigdy nie byłem żonaty, zaś co do dzieci, to miałem raz chwilę, w której umiłowanie prawdy srodze się na mnie pomściło.

Starając się o rękę pewnej bardzo rozumnej i postępowej panią, rzekłem jej przy oświadczeniach:

— Dziś, kiedy mają się rozstrzygnąć nasze losy, nie chcę Pani utrzymywać w błędzie co do moich stosunków prywatnych: mam syna, który mnie dosyć dużo kosztuje.

— Tak?! Szczerość za szczerość — i tutaj mocno się spłoniła —, widzę, że Pan nie ulegasz przesądom, więc wyznam, że i ja nie jestem dziewicą...

— Dziękuję!... Adieu!

— Adieu...

Zaiste! w tym labiryncie życia trudno znaleźć drogowskaz!

— „Na wieki Mężatka“ odpowiedziała mi na wonnym bielicie krótkim i węzłowatym pytaniem:

„Czy Pan zawsze taki — do niczego?“

Nie wiem.

Wiem, tylko tyle, że jestem niepoprawnym idealistą.

I z tą pieczątką stoję przed Tobą i dzisiaj:

Na „Boulevard-Bonne-Nouvelle“ kupiłem sobie za 19 fr. 75 cent. wzorzyste, półjedwabne „Kimono“ i w coraz częstszych godzinach podniesienia ducha kładę się na kanapie i zasypiam.

A podczas drzemki zjawia mi się Twa postać, dawno przeżuta, i szepta mi głosem, wonnym, jak róże, oplatające białą

mur na drodze z Florencji do Fiesole, gdzieśmy już nie w mro-
kach, ale w ciemnościach katedry w wielkiem rozrzwinienu
ściskali sobie dłonie, dźwięcznym, jak szum eukaliptów
w „Opactwie Trzech Studzien“, słodkim, jak ekstrakt z tych
przedziwnych, kory pozbawionych drzew, ekstrakt, któryśmy
z rąk pobożnych, bladych mnichów pili u wejścia do katakumb
Kaliksta, a który tak mnie oszołomił, że, znalazłszy w jednej
z tajemniczych, urokiem męczeńskiej przeszłości owianych
wnęk wyrzeźbioną w białym marmurze świętą Cecylję, są-
dziłem, że Ty leżysz przedemną!

„Nie jesteś — mówisz do mnie — kowalem ani tragarzem,
ale wołałabym, żebyś był Kruppem lub, chociażby z lewej
ręki, synem Rotszylda.

Szlachetnieś postępował, nie nadziewając baków na słomkę,
jednakże lepienie biskupów dowodzi, żeś miał zawsze kary-
godny wstręt do zajęć rentowniejszych.

A jeśli kiedy czyniłam Ci wyrzuty z powodu braku subtel-
ności duszy, przebacz! I ja — będę szczerą, jak ty nim je-
teś — wyznam, że dzisiaj trudno mi powiedzieć, na czym ona
polega i czy wogóle coś podobnego na świecie istnieje!

Jednakże śmiem twierdzić i dzisiaj, że nie świadczy to
o uczuciach zbyt delikatnych, jeżeli mężczyzna nie umie od-
różnić broderji brukselskiej od pospolitej podszewki; a już
brutalem można nazwać tego, któremu się zdaje, że pierwsza
lepsza Jagusia a księżniczka (nie jestem naturalnie księżniczką,
ale —) to jedno!

Wszystko atoli puszczam w niepamięć — masz mnie.

Lecz jeśli przyjemność nie będzie tak pełną — oboje nie
jesteśmy już młodzi —, twoja w tem wina!

Czemuż to wówczas, zamiast pisać nieszczęsny, transcen-
dentalny sonet, któryby każdą obraził kobietę, nie zdobyłeś
się na rozum prostego ogrodniczka?!

Zali się bałeś dostać batów?

Czem jest miłość bez cierpienia?

Ból dopiero jest podkreśleniem rozkoszy!

Czemu, zamiast szukać lucerny i żyta —

Zresztą, czy sądzisz, że i ja nie znam się na poezji naszych
siół?*

Tak lubym szepcesz mi głosem, o ty jedyna! o ty wybrana!

I serce moje mięknie i roztopia się w tęsknicy za wprost
nikczemnie zmarnowaną młodością!

Żal mi, o żal mi! boś naprawdę warta była grzechu!...

Dzisiaj — adieu charmant pays de France! Marja Stuart
idzie się przespać z Chastelardem czy Bothwellem, a lady
Macbeth — o, mylady!

Come, we'll to sleep: my strange and self-abuse
Is the initiate fear, that wants hard use; —
We are yet but young in deed...

Albo — lepiej zaśpiewajmy sobie wesołą piosnkę ś. p.
Hamleta:

Why, let the stricken deer go weep,
The heart ungalled play;
For some must watch, while some must sleep;
Thus runs the world away.

XXII. MARMUR.

W jednym z publicznych ogrodów widziałem rzeźbę —
nie pamiętam, czyjego dłuta —, ustawioną wśród licznej rzeszy
marmurowych allegoryj i zapewne dlatego nie zwracającą na
siebie zbytniej uwagi.

Ponieważ miała kilka wygodnych stopni, a pobliski, kwa-

dratowy, wieńcami cyklamenu otoczony basen przyjemną oddychał rzeźwością, gromadziło się naokoło niej sporo zawsze ludzi.

Niańki z dziećmi, żołnierze, siwi emeryci w odprasowanych, staromodnych cylindrach, robotnicy, studenci.

— Proszę pana — zagadnął mnie raz dobroduszny starszek, wyglądający na byłego urzędnika z departamentu skarbu —, widzę, że Pan jesteś nie tutejszy, ale to nie przeszkadza, i owszem, tem otwarciej możemy z sobą pomówić, bo do swoich traci się już zaufanie.

— Dlaczego?

— Hm... nie będę Panu tłumaczył, przeczytaj Pan sobie ten ustęp.

Podał mi numer gazety, drżącym, pomarszczonym palcem zakreslił jeden z środkowych artykułów, poprawił okulary i oblaźłymi, w zczzerwieniałych powiekach uwiecznionymi źrenicami bacznie mi się przypatrywał.

Była w tych oczach jak gdyby wyczekująca trwoga i krztyna żalu.

Przecież to moi — według praw boskich i ludzkich, a widzisz Pan, jak piszą!

— Cóż?!... Nie podoba im się porządek dzisiejszy, chcą go zburzyć.

— Właśnie o to mi chodzi... Nie uznają ani ministrów, ani dyrektorów, ani sekretarzy, ani kasjerów. Moje nazwisko i skromna pozycja są w tych wszystkich dykasteriach szczegółowo wynotowane. Ciężko mi napracowałem w życiu, doszedłem do niewielkiej emeryturki: uchwaliła mi ją dyrekcja, potwierdził pan minister, sekretarz wygotowuje przekaz, a pan kasjer wypłaca... Gdyby im się udało urzędy te jednym zamachem przekreślić, to któż będzie pamiętał o mnie i o moich biednych wnukach? Mam ich czworo, sieroty, wszystkie na

mojem utrzymaniu, a tak są łakome chleba, że trudno im nasstarczyć...

— Może będzie sprawiedliwiej na świecie...

— Sprawiedliwiej? Mój Panie, zanim z tego zamętu wyjdzie sprawiedliwość, to ja mogę umrzeć z głodu. Niewiele mi do końca, ale po kilkudziesięciu latach trudu i znoju radbym się jeszcze jako tako sytym żołądkiem napatrzyć — o, choćby na tę wodę w basenie, na te kwiaty, na te drzewa, radbym się jeszcze ogrzać w tej jasności słońca, tam, w ziemi, będzie dosyć chłodu i ciemni... Skarżyłem się przed chwilą jednemu z tych młodych smyków; wysmiał mnie; powiedział, że tu idzie o inne, ważniejsze sprawy, niż pensja pierwszego lepszego niedołęgi, że jestem samolub i nie umiem się poświęcać, jak niby wszyscy z mojej generacji.

Napościwiałem się dosyć, od niepamiętnych czasów, przy biurku, słusznie mi się należy wypoczynek! Nie chcę, mówię Panu, nie chcę, aby kto śmiał zakłócać tę harmonję społeczną, która daje mi jeść!

— Harmonję społeczną?...

— Tak jest! Tak jest! Będę jej bronił do ostatka! To sakrament dla mnie!... Widzi Pan tę figurę?...

Patronka naszego miasta, święta Genowefa, która za dawnych, bardzo dawnych wieków oswobodziła swój lud od klęski takiej, jaka nam dzisiaj grozi. Tylko że wówczas sprowadził ją obcy wróg, a teraz chcą na mnie — chcą na nas zwalić ją swoi!

Artysta, który to ciosał w kamieniu, jak gdyby przeczuł mą duszę, jak gdyby odgadł mą myśl! Gdybym był rzeźbiarzem, i ja nie inaczejbym to przedstawił... Ile razy na nią patrzę, a mam ją przed sobą codziennie, zawsze mi się wydaje, że ta Święta jest niejako symbolem harmonji społecznej...

Spojrzyj Pan: Wyciągniętą prawicą odpędza burzę, a lewą

tuli do siebie starca i kilkoro dzieci; oczy, wzniesione do góry, jakby żebrały pomocy bożej, a usta otwarte, drgające gniewem, śnać, wołają: „Wara, ty wrogu plemienia ludzkiego, od moich sierót!“

Zawsze mi się zdaje, że to ja i moje wnuki; przyjrzyj się Pan bliżej: ten starzec ma nawet moje rysy...

I, proszę Pana, tamci rozumieją prawdziwe znaczenie tego posągu — ino słychać, jak go wysadzają w powietrze. Widzi Pan tego obdartusa? Z szatańskim ogniem w oczach — obserwuję go od kilku dni — krąży naokoło marmuru, szuka punktu, z któregoby najlepiej rzucić bombę, albo przynajmniej — o, ściska coś w kieszeni! — kawalem glazu zeszpecić tę naszą świętość... Sprowadzę policję — — —!!

— Daj Pan spokój. Biedny, niewinny człowiek, nędza bije mu z twarzy, nie piekło: z pewnością głodny...

— A to niech idzie pracować, a nie wałęsa się po publicznych ogrodach.

— Może tak, jak Pan, lubi słońce, wodę i drzewa...

— Może... Bóg go tam wie...

Rozstaliśmy się...

„Harmonja społeczna“ pana emeryta nie wychodziła mi jednak z głowy.

— — — — —
Późnym wieczorem zaszedłem znowu do ogrodu.

Nie było nikogo.

Usiadłem na stopniach „świętej Genowefy“; wpatrzony w basen, na którego powierzchni srebrno-złoty księżyc wyprawiał swe cuda, pełną piersią chłonałem woń cyklamenów, róż i jaśminów.

Z zadumy obudził mnie nagły świst: zaszeleściły liście drzew, poruszyły się kwiaty, woda w sztucznym, cementowym

jeziorku pokryła lekkimi zmarszczkami gładką dotychczas twarz miesiąca.

Obejrzałem się trochę niespokojnie poza siebie: przedemną stanął brunatny faun: patrząc mi w oczy, bił kopytem o ziemię, z dwoma palcami w ustach, śmiał się, gwizdząc, do rozpuku. Trzęsło mu się kudłate brzuszysko — myślę sobie: o mało mu nie odpadnie.

W tej samej chwili zbiegł się z wszystkich stron ogrodu legion podobnych mu ucieśnionych figur i, gwałtownie porwawszy mnie w swoje grono, otoczył kołem marmurowy posąg, w którym były urzędnik w departamencie skarbu dopatrywał się symbolu uwielbianej przezeń harmonji społecznej.

Zapomniałem zupełnie, że mam ludzki żołądek i mogę mieć wnuki; najoczywistszy faun, brunatny i brzuchaty, tańczy z resztą koźlich towarzyszków, drapie się na rzeźbę, ciągnę świętą Genowefę za nos, na obnażoną głowę kamiennego starca pakuję swój kapelusz, kararyjskim sierotom zatykam głowę rękawem, aby nie beczwały, świstam, gwizdząc, śmieję się i śpię — wam coś niby na nutę znanego: Ach, du lieber Augustin!...

Wesoła kompanja nagle się rozpierzchła.

Zostałem sam.

Cisza.

Siedzę na marmurowych stopniach posągu; pełną piersią chłonę woń cyklamenów, róż i jaśminów, wpatrzony w kwadratowy basen, na którego kryształowej powierzchni wiekui-sty, srebrno-złoty księżyc swe uroczne wyprawia cuda.

Nie mogę jednak pozbyć się emeryta. —

Jakkolwiek nie jestem wielbicielem ministrów, dyrektorów, radców, sekretarzy i kasjerów, broniących wiaździa gotyckiego kościoła, w którym — przepędziwszy Pana Boga — rozsiedli się, wraz z inną hołotą, rozmaici „szlachetni obrońcy istniejących porządków“, to przecież zdawało mi się, że ro-

dlmiej owego starowinę w odprasowanym cylindrze i że mam zna jego trwogi i żalu jak gdyby trochę współczucia.

Widocznie i przezmennie przemówił — ludzki żołądek.

XXIII. BŁOGOSŁAWIEŃSTWO.

Gdybym miał duszę tak czystą, że prawo błogosławienia komukolwiek nie byłoby zuchwałem uroszczeniem ku wam, wyciągnąłbym rękę, o ciche, rodzinne me pola!

Ani korca pszenicy nie wyniosłem z waszych skib, nie wodziłem bydła na targ, wypasione na waszych łąkach, i rzemieiennej kiesy-m nie wypychał, wśród cudzych ściernisk kłosym-ci zbierał późniwie, a w świat poszło za mną tylko wspomnienie niedoli i smutek.

I to jest moje bogactwo i to mój posiew na tęsknicę lat, które przyjdą po mnie...

Nigdy też smutku nie zelżył, choć, jak pijak niechłujny, plulem na siebie, myśląc, że pluję na innych.

Albowiem w godzinach, kiedy palce kurczowo chylą się ku błotowi, by mu je rzucić w twarz i powiedzieć, że samolubnym jest niszczycielem, zjawia się przedemną wasz obraz, o ciche, rodzinne me pola, i od ostatecznych skażeń chroni me serce.

Nawiedził mnie dzisiaj sen i szeptał złowroźnie, że Bóg się od was odwrócił i w przeraźliwą zamienił pustkę:

Mróz podgryzł korzonki waszych ozimin i zwiędła, oszadziła szarość zaściela bujną niegdyś płaszczyznę.

Kępy śniadych ostów, resztką zwarzonych liści suche pokręcawszy badyle, sterczą samotnie nad umarłą trawą wąskiego rowu.

Od przysłoniętych mgławych, lasów przylatuje chmura ka-

wek i, nie znalazłszy żeru, ginie z wrzaskiem rozpaczonym w ołowianych głębiach przestrzeni.

Grudę długiej, jednostajnej drogi ciężkimi rozciera kopytami chude, zleniałe szkapisko, wlokąc za sobą dziurawy półkoszyk. Pogania je z pośród garści grochówin nędzny człeczyna w siwej, na uszy zaciśniętej czapce baraniej i w opuchłych, skórzanych rękawicach:

— „Wio! wio!“ — śmiga batem — „wio! wio! starucha! Bliżej nam śmierci, niż wiosny! Aby ino się dostać do gniazda! Aby ino się dostać! Wio! wio!...“

I tak się wleczkę ku dalekiej, sinej plamie wsi, tak dalekiej i tak sinej, że strzechy zrównały się niemal z ziemią, tworząc jakoby pas, oddzielający ją od nieba.

A za tym triumfalnym rydwanem życia — sztykut! sztykut! — kuleje na pół obłąkany, co dopiero z więzienia wypuszczony podpalacz...

„Juści“ — wrzeszczy, wyrażając się, to żółtkle, szronem osypane, ogromne widmo — „teraz niema co! Poczekam, aż te trochę żyta wyrośnie i dojrzeje, aż je zwieziecie do stodoł! Cały świat wolno mi puścić z dymem, bom ja go stworzył, nikt inny!...“

O lękiem przyszłych dni oddychające me pola!

Nie wiem, jakie zdarzą się wam losy, złe czy dobre, lecz między nadzieją błękitu, a większym jeszcze pomrokiem staje mój smutek i nieśmiało szle wam błogosławieństwo...

XXIV. CHAŁUPA.

Mówiono, że lat ma sto, albo i więcej.

Za dzieciństwa siwego rybaka pale jej były czarne i sto-

czone przez czerwie; na strzesze rozsiadła się gruba warstwa wilgotnego mchu.

Stała nad pustą, pełną drogą, o jakie ćwierć mili poza wsią, na opoczystym pagórku, bez trawy i zielska, bez wierzby i wiśni.

Jeden z jej właścicieli skopał ziemię i zasadził kilka krzaków „Bożego-drzewka“, ale pewnej nocy przewaliło się z rżeniem stado złych duchów i kopytami ubilo niedoszły ogródek na klepisko.

Nikt w chałupie tej nie zagrzwał kątów.

W izbie rzucało garnkami, a na strychu ktoś jakby przesywał ziarna grochu lub łamał pęki zeschłej trzciny.

Nie pomogło okadzanie święconym rozchodnikiem ani opisywanie kredą trzech-królową.

Wójt i ławnicy, ludzie mienni, jedzący mięso w czwartki i niedziele, a w piątek, na targu, pijący „cieple“, doradzali, że najlepiej będzie ją spalić, a na jej miejscu postawić krzyż.

Wojciech Burak, który na odpusty paradował dwójką gładkich, lyskliwych ogierów, a podczas wielkanocnych wyścigów pierwszy z spotniałym i zczzerwienionym triumfem wracał w obejście, zapędziwszy w rów dwa lub trzy zaprzęgi sąsiedzkie, okazał nawet gotowość postawienia własnym kosztem murowanej figury.

Juścić prawda, że sporo wyda grosza, ale, zmógłszy lichu, zaskarbi sobie łaski u Pana Boga i pszenica sypnie mu w trójnasób.

Zbudowanie kapliczki gdzieindziej nie miałoby takiego waloru.

Skapstwo biedaków, a tylko tacy zamieszkiwali starą, zapadłą chałupę, przechodziło jednak wszelką miarę.

Lepiej sprzedać lub wynająć za byle co, niż słuchać wypasionych gębaczy.

Sędzia ostateczny za złe im tego nie poczyta, winę swą okupią koronką, różańcem i postem; Miłosierdzie Jego pochopniejsze jest od nagłej i niespodziewanej śmierci.

Stał więc ten czarci kojec na postrach przechodniów.

Żył, owiany tajemniczą tęsknicą jesiennych dni i nocy, ginących razem z cichą wonią zwiedłych cykoryj w mgławych przepaściach wieczności.

Nie było człowieka, coby się w pobliżu jego nie żegnał.

Nawet znany niedowiarek, dawniejszy kościelny, który nieraz podawał gromnicę konającym i miał sposobność przekonania się, że duszy nikt palcami nie namacał, tracił rozum na widok niskich, szmatami zapchanych okien i szeptał:

— Ale nas zbaw ode złego. Amen.

Tylko „matką Samsona czy świętego Idziego“ żadna nie trzęsła trwoga: wynajęła starą, zapadłą chałupę i królowała w niej aż do sromotnego skonu.

Nie dziwota.

Była jedną z tak zwanych „nawiedzionych“, parających się z samym „Wcierniostym“.

— Mówicie — naigrawała się z swych nieprzyjaciół —, że czarnoksiężniki na kominku moim piekielne sprawiają wesele, a ja przysięgnę, żeście ślepi i głusi, choć oczy macie jak bawoły, a uszy jak wieprze; mój dom to kościół, granie organów słyszę co wieczór i śpiewy majowe i pozdrowienia anielskie...

Jakób Bryś, suchy szczap, człowiek, który życie strawił na procesach o miedzę lub kłoski, uzbierane na jego wąskim zagonie, a teraz, gdy umarł kto we wsi, lubił chodzić na cmentarz i nad nieprzykrytym jeszcze grobem znacząco kiwał głową, nie mógł pohamować żalu, iż prawo dzisiejsze zabrania pławić w rzece lub palić na stosie, bo, powiada, widome jest bluźnierstwo, a na ukaranie go niema rady.

Chyba tylko ta:

Wypaproszył kurę, jelita posypał mirrą, włożył do czarnej, polewanej miski i chyłkiem, o zmierzchu, postawił pod przycięś przekłętą chałupę.

Ale spółniczka szatana nie szczesza.

Jakby ją giez ukąsił, wybiegła w letni poranek — w wygasłych oczach błyskawice; policzki żarzą się, jak kawał żelaza, wyjęty co dopiero z ognia, cała postać wyolbrzymiały bąbel na olbrzymiem — nie z tego świata —, bagnistym oparzelisku.

Podwija kiecki, odsłania opuchłe nogi, jak kłodnie lub kizenki, prawie wstyd swój obnaża i ryczy i wrzeszczy i huczy i grzmi i śmieje się i płacze i szydzi:

— Znam cię, bezbożny szkaplerzniku! Kurze jelita stawileś pod próg, a moje wnętrzości się poruszyły! Mam być kochanką piekła, a wiadomo jest w niebiesiech, że ze mnie narodzi się Samson, który was wszystkich pobije jak Filistynów — i ciebie, co chodzisz na mogiłki, myślący, żeś odgadł śmierć, i was, ławnicy i wójcia, coście jakoby pochwycili życie, we czwartki i niedziele zjadający świńskie ochłapy i panoszący się w plecionych wasongach! Ani życie ani śmierć nie jest w waszym ręku, a ino w ręku Tego, co przyjdzie!

Samson to będzie albo i święty Idzi, oracz pański, co radła wasze i brony strącił w ciemnicę, a sam plugiem, zesłanym mu przez aniołów, ziemię rozorze i nie posieje na niej ani jęczmienia ni żyta, które dają wam moc natrząsania się z bliźnich, a ino słowa świętej Ewangelji.

Z brzemieniem chodzę po świecie, z ciężkiem brzemieniem ale

„W gwiazdach“ — powiada — „stoi wszystko jasno,
W starych prorocztwach można wszystko czytać,
Że choć tam w górze wszystkie słońca zgasną,
Tak nie przestanie gałąz z niej wykwitać;

Że na to wszystko szatany zawrzasną,
Lecz o szatany jej się dziś nie pytać:
Owoc jej zarży, jak ten koń bezsprężny,
A imię jego Idzi lub Samson potężny...”

* * *

Dużo, dużo lat upłynęło od tej chwili.

Samotny włóczęga po ugorzyskach życia, uciekający przed rozkładem liści jesiennych, zaszedł po długiej, mozolnej drodze, po grudach i zaspach śnieżnych, po roztopach marca i ukwieconych łąkach majowych do zapomnianej niemal wsi rodzinnej.

Przywitano go jak człowieka, który niby jest swój, a jednak obcy.

— Pokażcie mi Jakóba Brysia...

— Ha! ha! — zaśmieje się echem skrzypiących wrót cmentarnych, pomarszczona staruszka: chodził-ci na bożą rolę i chodził, kiwał nad grobami i kiwał, aż sobie wykiwał śmierć. W ostatniej godzinie szepnął: „Z Panem Bogiem procesować się trudno“ i — umarł.

— A wójt?

— Czapkował-ci komisarzom i — umarł.

— A Wojciech Burak?

— Córkę wydał za dworskiego pisarczyka, krzyż żelazny kazał odlać, przybił mosiężnego Pana Jezusa i na kamiennym, białym postumencie postawił nad szosą i — umarł.

— Nie nad pustą, pełną drogą — — ?

— Tam, gdzie to była ta — — ?

— Czarna, zapadła chałupa — — —

Staruszka umilkła.

Ale młody, pyzaty gospodarz wziął go na bok i mówi:

— Nie pytajcie się, panie, ludzi wiekowych. Zabobonni,

niegodnie im o tem mówić. Ja wam to wszystko dokumentnie wyjaśnię.

Skierowaliśmy się w stronę, gdzie ongi, na odżeganie zła, „suchy szczap“ postawił pod przycięś kurze jelita, przysypane mirrą.

— Chcieliście się, panie, dowiedzieć o tej —

— „Nawiedzonej“.

— Niby o tej — pijaczce?...

— No — tak...

— Pamiętam ją, jak przez sen. Z haczykiem wałęsała się po podwórkach, wygrzebując kości i szmaty. Starzy żegnali się, a dzieciaki szarpały ją za spódnice albo szczuły psami.

Czasem chodziła po żebrach, po wsiach okolicznych, nasi ludzie zamykali przed nią drzwi — ze strachu.

Czasem uchłana legła w rowie i potem — umarła. Mówili, że zagryzły ją wszy, jak Heroda. Pochowali ją na miejscu niepoświęconem, bo niby często bluźniła...

— A jej chałupsko?

— Niema po niej ani śladu. Wójt i ławnicy nieraz byliby ją spalili, ale się bali — prawa. Stała właśnie — tutaj...

— Tu, gdzie to żyto? Twardzizna, jeden z właścicieli próbował zasadzić „Boże-drzewko“, nie przyjęło się.

— Nie umieli brać się do roli... Dziś to jest moje. Rudę rozebrałem, ziemię-m skopał na pół metra w głąb, namierziłem, posypałem superfosfatem, szkoda każdego kęsa, kilka lat uprawy i, widzi pan, jaki urodzaj...

Radowała się dusza samotnego włóczęgi po ugorzyskach życia, iż oczy jego mogły ogarnąć siwozielone, falujące morze kłosów — tu, gdzie niegdyś z dziecięcym lękiem zapadła omiła chałupa.

A przecież czuł, że ziemia ta zbyt przesiąkła smutkiem.

Czuł ten smutek w cichym poszumie wiatru, kołyszącego

łan zboża na opoce, gdzie w starej, zapadłej chałupie miał się z „nawiedzonej“ narodzić Samson czy Idzi...

I czuł, że z smutkiem tym umrze i on, śmieszny, samotny włóczęga...

XXV. FILOZOF.

Nazywali go „chuchem“, co po żydowsku znaczy rabin albo filozof.

Zwykle przydomek ten dostaje się znachorom i innym owczarzom, leczącym „Bożą wołą“*) święconem winem.

On znalazł jeden tylko środek, żywokost, skuteczny na polamane kości w rękę lub w nodze.

Sam go jednak nie stosował, nie bardzo mu ufał.

Zresztą — powiada — na co ma się człowiek kurować? Zdrowy niewiele jest wart, coś dopiero, gdy się nadweręży. Najlepiej niech umrze.

A choćby się nawet i wylizal, może uderzyć w niego piorun i zabić.

Tak przed laty zginęła jego matka... Ha! ha! ha!...

A jeśli nie padnie od gromu, gotowo się zdarzyć, że, płynący łodzią, utonie w rzece — w białą, spokojny dzień...

Tak przed laty zginął jego ojciec... Ha! ha! ha!...

Albo przyjdzie niewiadomy dławiciel, rumianego dzieciaka uchycy za gardło i, nim konie zaprzęgną po doktora, udusi...

Tak przed laty zginął jego młody braciszek... Ha! ha! ha!...

Jest — mówi — gdzieś coś takiego, czego okiem nie dojrzysz, a co chodzi za nami i czyha, jakby nam podstawić nogę... Na gładkiej drodze język wywalisz, zipniesz raz i drugi i koniec...

*) Epilepsja.

Na to wszystko najlepsze byłyby skrzypce, ino że śmiertelnik akuratnie nigdy grać się nie nauczył...

Grywał-ci i on przed laty — ha! ha! ha! — do ucha dziewczynie, którą sobie wziął niby za żonę...

Po jakimś czasie rzekła mu połowica:

— Grywasz na starą nutę! Trzeba koniecznie odmiany! Teraz w modzie jest „szot“^{*)}.

Próbował na ton „szota“, nie wydolał.

Za to jednego wieczora spotkał ją na zapłociach, z parobkiem.

Wyrwał kół, przyjacielowi jeszcze bardziej splaszczyl łopatki, babę wypędził, skrzypce potrząsał... Ha! ha! ha!

Od tej chwili tłumaczył, że sosnówki to instrument, który nas wodzi na pokuszenie, a kobieta jest by kostrzewa.

Szatan posiał ją w zbożu ku wielkiej miłredze ludzi i Boga.

Zmielona z innem ziarnem i upieczona na chleb, sprawia gorzkosć na podniebieniu i ból w żołądku.

Od tej chwili też, w dobrym będąc humorze, zadawał sąsiadom i niesąsiadom rozmaite pytania, na które odpowiadali, jak mogli.

Zawsze ich poprawia — na swoją uciechę.

Lubił pszczoły, bo — brzęczą, i czajki, bo — krzyczą.

Raz, z podwiesną, kiedy wiklina stroi się w „kocie łapki“, spotkałem go na żółtych jeszcze łąkach.

— A wiesz ty, smyku, po coś tu przyszedł? — zagadnął małego wówczas gęsiarka.

— Nie wiem.

— Ja ci powiem: Chałupa wasza niska ma powalę, kominaście jeszcze nie wyprowadzili, dym cię gryzie, tak myślisz, że ci tu będzie weselej.

— Prawda.

^{*)} Taniec szkocki.

— A może lubisz patrzeć na trawę, jak rośnie, i na wodę, jak płynie?

— Juści.

— A może rad też słuchasz krzyku czajek?

— Jo...^{*)}

— Rozumiesz je?

— Krzyczą, bo krzyczą.

— Głupiś! Wołają nad bagnami: Pójdź-tu! Pójdź-tu! Czajka to jest — Śmierć...

* * *

Pewnego dnia zadał ogromny wicher, djabelskimi garściami zgarnął suchy piasek z dróg i słupem olbrzymim rzucił go w niebo — na szyd...

Wierzyby zadrzały, topole jęły płakać szumem, jakiego nie słyszano oddawna, trawa przykucnęła z lękiem do ziemi, woda w jeziorze wydęła ciemne brzuszysko i grubymi jęzarami jadła nadbrzeżne błoto.

Bydło rwało się z postronków, a czarny kogut, który przed chwilą, płomiennym potrząsając grzebieniem, zabierał się do deptania kur, rozczapierzył zeszytniałe skrzydła, zapiał przeraźliwie i znikł bez śladu. Widno zły duch, którego spłoszył silniejszy odeń Lucyper.

Po wsi gruchnęła wieść, że Marcin Kabłak, który odbył wojnę francuską i za waleczne zabijanie ludzi otrzymał nawet krzyż, powiesił się w stodole, na belce.

Nie wiadomo, z jakiej przyczyny.

Podobno cniło mu się na sumieniu, iż nie został jenerałem i że jego kamrat więcej przywiózł luidorów, niż on.

Miał też różne nieszczęścia: na jarmarku oszukano go przy sprzedaży konia; na mokrej, sąsiedzkiej lucernie wzdęła mu

^{*)} Tak.

się krowa i padła, a pijany dziad odpustowy, któremu nie dał nic do worka, prorokował mu, że długo panować nie będzie, bo nie zna miłosierdzia.

Martwił się przytem, że jednak pod Gravelotte i Metzem trochę za dużo mordował.

Spowiadał się nieraz, spokoju nie zaznał.

Jeden ksiądz powiedział mu, że wojna to grzech jest najśmiertelniejszy, za który niema odpuszczenia, ale posłusznym być trzeba, bo władzę sam Bóg ustanowił; kazał mu więc leżeć krzyżem na sumie przed wielkim ołtarzem.

Drugi ksiądz mówił, że Francuzów nie szkoda, bo jest naród heretycki; starzy ludzie pamiętają, jak biwakowali po kościołach i z świętych obrazów robili sobie onóczki na zmarzłe nogi; że jednak w Ewangelji napisano: nie będziesz przelewał krwi brata swego, przeto za pokutę kazał mu kupić żalobną chorągiew i złożyć kilka funtów wosku na świecę — do katafalku.

Trzeci ksiądz rzekł mu zaperzony: nie to cię gryzie, żeś ludzi klął bagnetem, a tylko to, iż dobrowolnie żadnej nie dajesz ofiary. Tumanisz się przed Bogiem i większy występpek osłaniaś mniejszym. Obludny jesteś i chytry, niebios a ci nie przebaczą.

Tylko czwarty, siwy, jak gołąb, staruszek, zwiędły i pomarszczony, bezzębnemi szepnął mu wargami: Ja jestem biedny i ty jesteś biedny, my wszyscy jesteśmy biedni...

To mu nieco ulżyło, nie na długo...

Zesłi się ludzie do wisielca, przywłókl się i „chuchem“... Śmiał się: To się nazywa życie... Ha! ha! ha!

Ten i ów popatrzył na niego z ukosa i splunął.

A jedna z kobiet, która mu nie mogła darować kostrzewy, poczęła go lżyć:

— Na zatracenie poszedł, święconą wodą go nie pokropią, pochowają go pod burta cmentarnego rowu, z północkska

duśza jego wołać będzie dżdzu, a ten się chichocze... Licho już i dla ciebie kręci sznureczek...

— Niech kręci, ino że ja po niego palców nie wyciągnę... Chyba mi go samo założy na szyję!

Zobaczył mnie.

— Chodź — powiada — posłuchamy brzęku pszczoł...

Położyliśmy się w malej pasieczce.

— A wiesz ty, smyku, co one gwarzą!

— Nie!

— Ja ci powiem:

Nie zostałem jenerałem, to nie został.

Nie dużo przywiózł ludorów, to nie przywiózł.

Oszukali go na koniu, to oszukali.

Padła mu krowa, to padła.

Kazał mu ksiądz leżeć krzyżem, to kazał.

Powiesił się, to się powiesił.

Gdyby się nie powiesił toby go zabił piorun. Ha! ha! ha!

A nie zabiłby go piorun, toby utonął w rzece. Ha! ha! ha!

Nie utonąłby w rzece, zdusiłby go niewiadomy dławiciel! Ha! ha! ha!

Nie zdusiłby go dławiciel, to inną zginałby śmiercią — prędzej czy później! Ha! ha! ha!

Czas jest czas, a śmierć jest śmierć...

* * *

Nadziwowałem się „kocim łapkoms“ na wiklinach, napatrzyłem się trawom, rosnącym na bagnistych łąkach, nasłuchiwałem się krzyku czajek i brzęku pszczoł, szumu wierzby i płaczu topoli i z skrzypką sosnową w zanadrzu poszedłem w świat...

Narzędzie było nieszczególnie, bo gdym raz zagrał na weselu, powiedziano, że nuty nie słyszał i nogi według tego w tańcu chodzić nie umięją.

Ale to mnie nie stropiło.

Rzuciłem zbiegowisko ludzkie, gromadzące się na targach, pod ścianą domów publicznych, w oknach olbrzymich kamienic, u stóp wyniosłych pomników, pod łukami żelaznych mostów, na marmurowych schodach katedr, w salach balowych, w gmachu giełdy i kantorach bankierskich, i szedłem dalej.

Coś mi się uwidziało, że jeśli muzyka moja nie podoba się kupcom, handlarzom i — mojej dziewczynie, to stworzoną jest na to, by ją pojęły błękity nieba i biedne, nieszczęśliwe dusze, żebrzące jałmużny u bram wieczności.

Coś mi się uwidziało, że w skrzypcach moich żywe jest serce i że chwilami przemawia z nich siła i moc.

Myślę sobie: spróbuję się z morzem, chcę się przekonać!... Poszedłem — niemal o proszonym chlebie, czeladnik z kuźni świata, który marzył o wykonaniu majstersztyku.

Dzień był słoneczny, lecz wichurę dął gwałtownie od zachodu.

Rybacy przestrzegali:

— Będzie burza! Tylko szalenciec odbija w taki czas od brzegów.

— Odbiję! Kto ze mną siądzie do łodzi?!

Znalazł się między nami jeden śmiałek, rozumujący:

— Jeśli nie utonę, zgładzi mnie piorun, nie zgładzi mnie piorun, to inną zginę śmiercią! O czas mi nie chodzi! Ja z tobą na fale!...

Popłynęliśmy tak daleko od lądu, ja i ten drugi, że ocean opierał się w krag o nieboskłon, a kiedy nagle zjawily się chmury, granice znikły i strop i głab stopily się w straszną, tajemniczą, wilgocią mgieł napelnioną kulę.

Kołysało się morze szerokimi płaszczyznami, postrzępioną białą pianą obryzgując nam twarz i żagle.

Dobrywszy skrzypek w pięciostrunnej melodji usiłowałem zamknąć żal i pytanie, dlaczego dzieć się tak musi, że jeśli

człowiek nie utonie, to zabija go piorun, a nie ginie od pioruna, to inna moc go powala... i czym jest życie i co jest śmierć...

Wiekuiasty Ocean przysłuchiwał się z początku zdumiony, że wobec jego majestatu śmie się odzywać echo śmiertelnego człowieka, zamknięte w dźwięk prostych sosnowych skrzypiec.

Przedrzeźniał ten dźwięk miarowem, rytmicznem uderzaniem w pierś naszej łodzi, lecz nagle, zerwawszy się do wtóru niesłyszanej nawałnicy, w niesłyszczanym pochłoniął rozszumie najsilniejsze brzmienia mych strun.

Przypomniały mi się słowa „filozofa“, że sosnowki to instrument, który nas wodzi na pokuszenie.

Ostatkiem sił, gnany przestrachem, ledwie dotarłem do lądu.

Wzięła mnie chęć roztrząskania skrzypek, tak, jak wówczas, kiedy na staroświecką nutę zagrał mojej dziewczynie, żadnej „szota“.

Ale było mi żal — tak, jak wówczas...

A mozem, stehórzył.

A może lichu czekało, aż sam wyciągnę palce po sznurek...

Upokorzony i ośmieszony przez nieogarnięty i niezgłębiony Żywiol, w rodzinne powróciłem gniazdo, gdzie Marcin Kabłak, który za waleczność otrzymał krzyż, nie zaznał spokoju, aż się powiesił, i gdzie „chuchem“ tłumaczył mi krzyk czajek i kazał słuchać brzęku pszczoł.

Anim się spostrzegł, że od tej chwili upłynął cały niemal żywot ludzki.

Nie miałem nadziei, że jeszcze popatrzę mu w oczy.

Żył...

Siedział na ławeczce, pod chałupą w pasiece.

Łysy, z sinemi dziąslami, z brodą dawno nieogoloną, podobną do jesiennych ściernisk, osnutych pajęczyną.

W rozpiętej koszuli na wkleślej, zczerniałej piersi, w spod-

niach, przepasanych powrółem, bosi, patrzył bezmyślnie w słoneczny przestwór.

— Już wam też będzie ze sto lat...

— A będzie.

— Nie poznajecie mnie?

— A nie poznają.

— Pamiętacie bagna i czajki?

Uśmiechnął się i wlepiwszy we mnie nawpół umarłe źrenice, bełkotał:

— Widzę, masz skrzypce. A nauczyłeś się grać akuratnie?

— Nikt się jeszcze nie nauczył!...

— Ja swoje potrzaskalem.

— Mnie żal... A mozem stchórzył... Żyję, więc — —

— Słyszysz jak brzęczą pszczoły: Żal ci, to żal ci... Stchórzyłeś, to stchórzyłeś... Żyjesz, to żyjesz... Umrzesz, to umrzesz... Ha! ha! ha!...

Ale śmiech ten był już tak cichy, prawie tak niedosłyszalny, jak szelest skrzydlatej duszy, stojącej nieruchomie u bram wieczności...

POSŁOWIE X TOMU

Książka „O Bohaterskim Koniu i Walącym się Domu“, napisana prawdopodobnie w r. 1905, ukazała się po raz pierwszy wiosną 1906 roku. Powstanie jej wiąże się ze stanem odprężenia, który musiał nastąpić po wielkiem napięciu twórczym, w jakim zrodziły się hymny. Oscylacje takie między kontrastowymi stanami uczuciowymi cechują wogóle twórczość tego poety. Po żywiołowych wybuchach nastąpiły chwile zubożenia, po patosie — powściągliwość wyrazu posunięta aż do krańcowej lakoniczności, po orkiestralnym zespole różnorodnych środków artystycznych — skłonność do przerzucania się od dysonansów do prostoty, graniczącej z abnegacją. Przejście do prozy, do poruszania spraw codziennych, z pozoru błahych, jest tu faktem niemal symbolicznym. Po wystąpieniu w imię ludzkości w hymnach — mamy gorzkie odosobnienie, odgrodzenie się nawet od czytelnika maską dziwactwa, szyderstwa, udanego cynizmu, trywialnych konceptów, wyborem mało dostępnej formy. Przechodzenie od zawilej symboliki, umyślnych zgrzytów do największej bezpośredniości lirycznego wyrazu świadczy o tem, ile niepokoju kryje ta pozorna równowaga obojętności.

Nowym bezwzględnie w tym zbiorze jest pierwiastek humoru, pojawiający się w twórczości Kasprzowicza w tej książce po raz pierwszy. A w tej dziedzinie twórczości okazał się poeta równie wielkim a jeszcze oryginalniejszym, bo bardziej subiektywnym.

Jak tragicy, drogą współczucia dla wstrząsających cierpień, budzą w nas silniejszy odzew uczuciowy na wariości moralne,

tak i humoryści, każąc uczuciom naszym oscylować między kontrastami małości i wielkości, ukazując świat w nieoczekiwanych oświeceniach, ostrzą naszą zdolność wartościowania. I Kaspro-wicz-humorysta nie przestaje być moralistą, a nawet jest nim bardziej wyłącznie. Ale nie artyzm przedmiotowego przedsta-wiania gra tu decydującą rolę: Kaspro-wicz i w tej formie pozo-staje przede wszystkim lirykiem. Droga dysonansów bolesnego humoru, droga bezmiernego współczucia dla śmiesznej małości doli człowieczej budzi w nas nastroje, stany liryczne. W nich właśnie leży istota poetyckiego działania. Dlatego mimo maski Kaspro-wicz jest w tych utworach tak osobistym. Tu dane nam jest obcować z duszą poety bliżej jeszcze, intymniej niż kiedy-kolwiek. To stanowi może największy czar tej książki: W po-rachunku ze sobą i światem, w rozterce zwątpienia odstawiają się wszystkie pokłady duszy poety, napływają wspomnienia dzieciństwa i posępne zwiady przyszłości; wszystko, co stanowiło najistotniejszą treść jego życia, cały świat wartości moralnych, świętość, ojczyzna, twórczość własna i codzienne koleje życia przesuwają się w tym dziwnym korowodzie mar, groteskowych masek, złośliwych karykatur i cudacznych fikcyj. Stąd tak ogromna skala rodzajów humoru tej książki, łącząca biegunowo różne stany gorzkiego zniechęcenia i miłego rozrzewienia, pogardy i współczucia, obojętności i buntu. Stąd różnorodność środków artystycznych, poczynając od wyrafinowanej symboliki aż do najdalej posuniętej bezpośredniości — spowiedzi.

Opowieści „O Bohaterskim Koniu i Walącym się Domu“ to objawienie tego, co w duszy Kaspro-wicza intymne. Nie można go ani uwielbiać, ani kochać nie mając entuzjazmu dla tej książki.

Portret pendzla Leona Wyczółkowskiego, reprodukowany w tomie X-ym, pochodzi z roku 1908.

S. K.

SPIS RZECZY X TOMU

	Str.
I. Południe	5
II. Spoczynek	5
III. Wędrowcy	6
IV. Pod kolumną	7
V. Pijaczka	9
VI. Ballada o bohaterskim koniu	11
VII. Portal katedry	13
VIII. Modlitwa episjera	15
IX. Równi z równymi	18
X. Pont Neuf	19
XI. Fragonard	21
XII. Pana Antoniego C. współwłaściciela firmy Antoni C. & Sp. przy ulicy M. sen o sędzie ostatecznym	28
XIII. Starożytny kościół	37
XIV. O walącym się domu	38
XV. Złodziej	43
XVI. Śpiewający	46
XVII. Główki dziecięce	48
XVIII. Cień	52
XIX. Pani śmierć	59
XX. Akacja	66
XXI. List	69
XXII. Marmur	79
XXIII. Błogosławieństwo	84
XXIV. Chałupa	85
XXV. Filozof	91

POSŁOWIE X TOMU